

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 9 września 1911. Nr. 36.

Zamordowanie ziemianina.

(Treść na str. 2).



Nr. 36. „Nowości illustrowanych" zawiera: Echa zbrodni przy ulicy Długosza we Lwowie. — Samobójstwo bandyty katorżnika. Zamordowanie ziemianina. Liga Pomocy przemysłowej w ósmym roku swego istnienia. Dzień Macierzy Śląskiej we Lwowie. — Rozruchy choleryczne we Włoszech. — Zaślubiny na dworze serbskim i t. d.

Sensacyjny proces hr. Ronikiera. — Cyganiewicz we Lwowie.

Zamordowanie ziemianina.

(Do illustracyi tytułowej).

Wiadomo powszechnie, że stosunki wzajemne pomiędzy dworem wiejskim i chatą włościańską nie wszędzie są tego rodzaju, jakby to sobie życzyć należało. Wieśniak odnosi się zawsze do właściciela z pewnego rodzaju nieufnością, datującą się jeszcze z dawnych czasów pańszczyźnianych, tu tylko i ówdzie stosunki ułożyły się w ten sposób, że dwór i chata ufają sobie wzajemnie, wspierają się i pomagają sobie nawzajem.

Ofiarą podobnych stosunków padł znany w Kieleckiem właściciel Skrobaczewa pod Stopnicą, pan Adam Lipiński i siedmnastoletnia córka jego Irena.

Wieczorem, gdy rodzina państwa Lipińskich zasiadła przy stole w pokoju jadalnym, przez okno, wychodzące na ogród, padł strzał i w tej chwili padli na ziemię ojciec i córka brocząc obficie krwią. Służba, zwabiona hukiem strzału, rzuciła się na ratunek, niestety było już zapóźno, obydwoje śmiertelnie ranieni niebawem rozstali się ze życiem.

Na wieść o potwornej zbrodni, która w całej okolicy sprawiła przygnębiające wrażenie, wyjechał ze Stopnicy naczelnik straży ziemskiej z kilku strażnikami, celem rozpoczęcia śledztwa na miejscu.

Wiadomem było powszechnie, że włościanie skrobaczewscy mieli do swego dziedzica już od dawna jakieś pretensye i pałali ku niemu jawną nienawiścią, stwierdzono też, że zamiar dokonania zbrodni na jego osobie żywili już od dawna. Ostateczną przyczyną był spór ś. p. Lipińskiego z gminą, który władze rozstrzygnęły na korzyść właściciela.

Śledztwo, przeprowadzone z wielką energią, wykazało, że zabójcą ś. p. Lipińskiego i jego córki jest dwudziestosiedmioletni włościanin ze Skrobaczewa, Paweł Korczak, człowiek nader niemiłej powierzchowności, prawdziwy typ Lombrosowski. Przyparty do muru przyznał się on do popełnienia zbrodni i zeznał, że nabitą strzelbę otrzymał przed wykonaniem zamachu od Franciszka Korczaka, który przyprowadził go do parku pod okna dworu i tam kazał czatować na dziedzica. Była to zrobiona we wsi pojedynka, nabita siekańcami. Nabój był tak silny, że po wystrzale pękła lufa i pokaleczyła mordercę, szczątki jej znaleziono w krzakach, nieopodal okna.

Na zapytanie, dlaczego zabił także i córkę dziedzica, która przecież cieszyła się ogólną sympatyą, odparł z zupełnym spokojem, że jej wcale zabić nie miał zamiaru, ponieważ jednak zbyt długo stała przy ojcu, nie mógł dłużej czekać, bał się bowiem, by go kto tymczasem nie złapał.

Jako winnych morderstwa aresztowano czterech włościan, mianowicie trzech braci Korczaków i Jana Gardysza, pociągnięto też do odpowiedzialności i sołtysa, który bardzo niechętnie udzielał komisyi śledczej informacyi.

Pogrzeb ofiar zamachu odbył się przy nader licznym udziale okolicznego ziemiaństwa, włościanie skrobaczewscy nie wzięli w nim udziału, przyglądali się tylko zdaleka.



Liga Pomocy Przemysłowej w ósmym roku istnienia: Jadalnia Bursy.

Liga Pomocy przemysłowej w ósmym roku istnienia.

W dniu 8. września b. r. przeżywa jedna z najpoważniejszych naszych organizacyi społeczno-narodowych, Liga Pomocy przemysłowej, ważną chwilę.

W obecności najwyższych dostojników i kilkuset delegatów i członków związkowej organizacyi Ligi poświęci ksiądz biskup Bandurski we Lwowie obszerny gmach tej instytucyi, a prezes Ligi, najgorliwszy opiekun rodzimego przemysłu, książę Andrzej Lubomirski z Przeworska, zagai siódmy krajowy Zjazd Ligi Pomocy przemysłowej.

Dzięki umiejętnemu wyzyskaniu nastroju i niezmordowanej pracy jednostek stanęła organizacya Ligi już po kilku latach w szeregu najpoważniejszych naszych społeczno narodowych stowarzyszeń.

Czem jest dziś dla naszego społeczeństwa, jak drobiazgowo i systematycznie dąży do swego szlachetnego celu, o tem świadczy dobitnie jej ostatnie roczne sprawozdanie.

Trzy są główne kierunki, w których Liga rozwija swą działalność zapomocą 316 filialnych towarzystw i komitetów i przy współudziale czternastu tysięcy swych członków.

Pierwszy kierunek, to oddziaływanie na młodzież i wytwarzanie nowego, do jędrnej i praktycznej pracy uzdolnionego pokolenia. Służą ku temu warsztaty studenckie rozsiane po całym kraju i internat dla młodzieży przemysłowej, w którym trzydziestu kilku terminatorów i uczniów szkół przemysłowych kształci się na tęgich rękodzielników i przemysłowców.

Drugi kierunek, to praca nauczania, spełniana do niedawna przez urządzanie kursów fachowych, a od roku prowadzona systematycznie przy pomocy osobnego instytutu pod nazwą: Seminaryum przemysłu domowego. Już w pierwszym roku odbyły się w niem cztery kursy fachowe, na których sto dwadzieścia nauczycielek ludowych i inteligentnych robotnic wyuczono najrozmaitszych gałęzi przemysłowo-domowej pracy.

Tworzy się też Powszechny Uniwersytet przemysłowy, w którego wielkiej sali odbywać się będą stale wykłady z dziedziny przemysłu, handlu i rękodzieła.

Trzeci wreszcie i najważniejszy kierunek, to praca informacyjna i konkretna działalność przemysłowo-handlowa. Nowy, przez Ligę wynaleziony typ wystaw ruchomych oddał krajowemu przemysłowi nieocenione przysługi. Specyalny wóz z okazami towarów krajowych objeżdża w roku sto dwadzieścia miast, prelegenci zapoznają najszerszą publiczność z wytwórczością krajową.



Liga Pomocy Przemysłowej w ósmym roku istnienia: Dyrektor Biura Ligi Pomocy Przemysłowej, Józef Olszewski.



Liga pomocy przemysłowej w ósmym roku istnienia: Warsztaty studenckie

Liga utworzyła też cały szereg nieznanych dotąd w kraju spółek i kas fakturowych, w ostatnim zaś roku pierwszą w Galicyi Spółkę maszynową i kredytową we Lwowie. Ponadto otwarto muzeum i biuro eksportowe, posiadające wzory naszych towarów i kontrawzorów sprowadzanych z zagranicy, do których dostosowuje się nasza produkcya, szukająca zagranicznych rynków zbytu.

Ponadto wspomnieć należy o kilkudziesięciu wystawach okręgowych i przeglądowych, o trzech jarmarkach krajowych we Lwowie, wystawie kościelnej, wyrobów ze szuwaru, karnawałowej i t. d., a będziemy mieli obraz ośmioletniej działalności tej tak pożytecznej instytucyi, która, oby rozwijała się jak najpomyślniej dla dobra krajowego przemysłu.

Cyganiewicz we Lwowie.

Zbyszko II, brat światowego szampiona, Władysław Cyganiewicz, święcił w niedzielę we Lwowie niebywałe tryumfy. Park Towarzystwa Zabaw Ruchowych wypełniły takie tłumy ludności, jakich tam jeszcze nie widziano! Od sfer najpoważniejszych, do ubogo odzianego robotnika, reprezentowane były wszystkie klasy społeczne, przybyło także wiele osób z prowincyi, zwłaszcza z Krakowa i Nowego Sącza, aby podziwiać tak popularnego już „Władka“.

O godzinie 4·30 ukazał się na estradzie w parku Jess Westergaard, typowy zawodowiec-atleta o ogromnym korpusie, osadzonym na silnych, krótkich nogach, obok niego „Władek“... Zrywa się burza oklasków. Wszystkich oczy zwracają się w stronę sympatycznego i ślicznie zbudowanego młodziana, którego poprzedziła już sława zwycięstw z Warszawy, Davos i Lublina.

W pierwszej chwili budzą się pewne obawy, czy też poczynający dopiero atleta sprosta tak poważnemu przeciwnikowi, po kilku jednak pierwszych chwytach wątpliwości pierzchają! Znakomita szkoła, zwinność ruchów, gibkość ciała, a co najważniejsza znakomita oryentacya i kolosalna siła zrobią swoje.

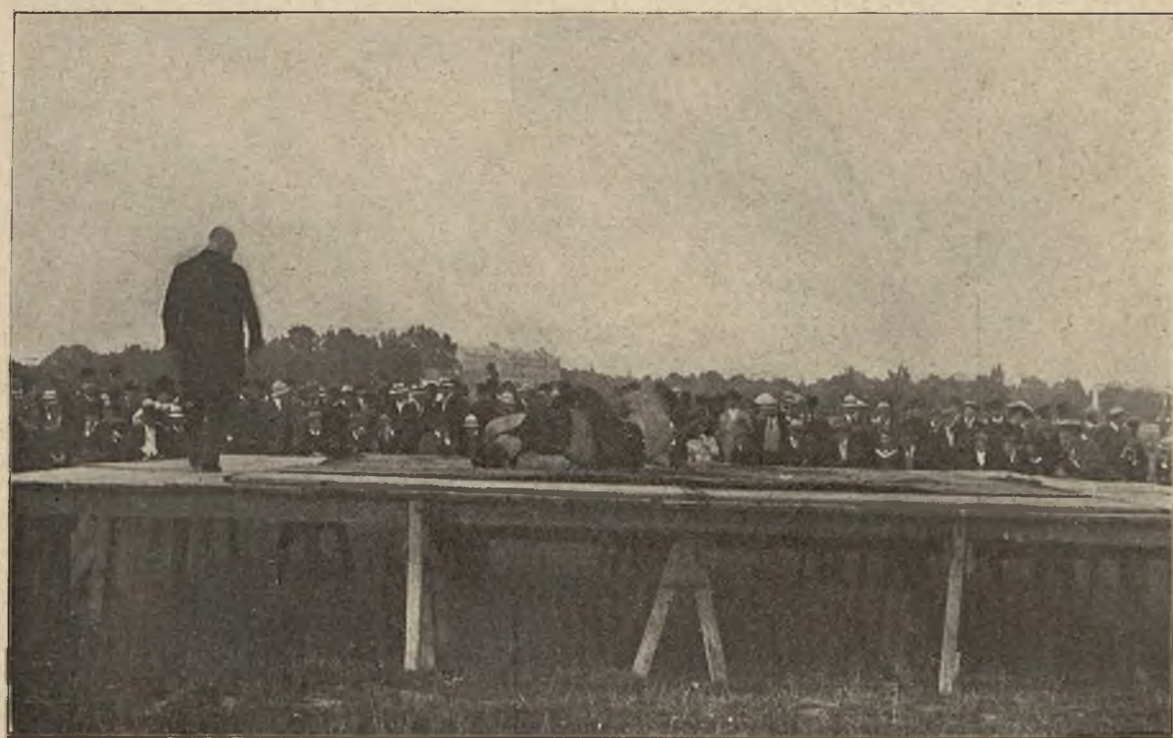
Po sześciu minutach położył „Władek“ przeciwnika na obie łopatki, w drugiem spotkaniu zadał mu porażkę w niespełna trzy minuty!...

Zerwała się ponowna burza oklasków, rozentuzyazmowana młodzież urządziła Cyganiewiczowi niebywałą owacyę.

Walka odbywała się w nieznanym dotychczas u nas systemie catch as catch-can.

Dzień Macierzy Śląskiej we Lwowie.

Błagalny głos dobiegający nas z kresów śląskich i wzywający społeczeństwo galicyjskie do ratowania Macierzy śląskiej księstwa Cieszyńskiego, która zamknęła budżet swój znacznym niedoborem i znalazła się w bardzo przykrej sytuacyi finansowej, poruszył żywo kraj nasz i znalazł wdzięczne echo wśród szerokich sfer intelligencyi polskiej. Bardzo pięknym objawem zrozumienia doniosłości sprawy kresowej i chęci dopomożenia Macierzy śląskiej były t. zw. dni Macierzy szkolnej śląskiej urządzone w ostatnich czasach w kilku miejscach w Galicyi. Dzień Macierzy śląskiej w Zakopanem połączony



Cyganiewicz we Lwowie: Moment z walki Zbyszka II. z Jess-Westergaardem w Parku T. Z. R. we Lwowie.

z wiecem intelligencyi polskiej wszystkich trzech zaborów zgromadzonych pod stopami Giewontu, był pierwszem hasłem tego zbożnego odruchu pomocy w doniosłej sprawie ratowania kresów. Poważny fundusz zebrany w Zakopanem zachęcił Zarząd Macierzy do apelu o urządzenie podobnego dnia także we Lwowie.

Komitet jarmarku wyrobów krajowych powodowany chęcią pospieszenia z pomocą kresowym szkołom na Śląsku urządził w dniu 30. sierpnia b. r. przy wspaniałej pogodzie „wieczór świętojański“ jarmarku, z ogniami sztucznymi, muzyką, korowodem lampionów i oświetleniem różnobarwnem wzgórza powystawowego. Zabawa wypadła nadspodziewanie świetnie przynosząc poważny wynik finansowy. Połowę czystego dochodu z wieczoru przeznaczył komitet na pomnożenie funduszu Cieszyńskiej Macierzy.

Zbieraniem datków zajmowało się grono uproszonych pań, które z uznania godną gorliwością przy stolikach opatrzonych odpowiedniemi napisami zajmowały się zbieraniem ofiar skwapliwie przez publiczność składanych.

Zaślubiny na dworze serbskim.

(Do illustracyi na str. 10).

W czasie pobytu wakacyjnego u królestwa włoskich w Racconigi, zaręczyła się jedyna córka serbskiego króla Piotra z wielkim księciem Janem Konstantynowiczem. Księżniczka Helena, najstarsza z trojga dzieci obecnego króla serbskiego z jego małżeństwa z księżniczką Zorką Czarnogórską, kończy w październiku dwudziesty siódmy rok życia, narzeczony, syn wielkiego księcia Konstantego Konstantynowicza i małżonki jego, ks. Elżbiety Sachsen-Altenburg, liczy dopiero dwadzieścia pięć lat wieku. Jest on porucznikiem rosyjskiej kawaleryi i pełni obowiązki adjutanta skrzydłowego przy boku cesarza Mikołaja.

Małżeństwo to ma znaczenie polityczne, zacieśnia bowiem jeszcze silniej węzły, jakie łączą młodą dynastyę Karageorgiewiczów z cesarskim domem rosyjskim. Król Piotr jest bardzo zadowolony z dojścia marjażu do skutku, osobiście udał się też do Petersburgu, aby wziąć udział w uroczystościach weselnych.

W Granicy powitał gości narzeczony, książę Jan Konstantynowicz i świta honorowa. Pociąg dworski zatrzymał się dłużej na stacyi Praga-nadwiślańska, gdzie oczekiwali przybycia króla serbskiego: delegowany z Petersburga jenerał-adjutant Maksymowicz, jenerał-gubernator warszawski Skałłon z żoną i dziećmi, oraz naczelnicy władz cywilnych i wojskowych.

Po przyjęciu warty honorowej, król wraz z synem i córką przeszedł do poczekalni dworskiej, gdzie odbył *cercle*, podczas którego przedstawili się między innymi konsul i wicekonsul serbski w Warszawie pp. Hugon i Paweł Saydlowie, poczem pociąg przy dźwiękach hymnu serbskiego ruszył w dalszą drogę.

Również bardzo serdeczny charakter miało przyjęcie w Peterhofie. Na dworcu zgromadziła się rodzina cesarska, królowa grecka, ks. Mikołaj grecki, wielcy książęta i wielkie księżne, a burmistrz podał na srebrnej tacy chleb i sól.

Ceremonia ślubna odbyła się w Peterhofie w niedzielę, poczem król Piotr wraz z następcą tronu powrócili zaraz do Belgradu.

W drodze towarzyszyła królewskiej rodzinie liczna bardzo świta wojskowa i cywilna z pierwszym adjutantem królewskim, pułkownikiem Jorasziczem na czele, ponadto minister spraw zagranicznych Milowanowicz i poseł serbski w Petersburgu, Popowicz. — Wogóle serbscy goście spotykali się na każdym kroku z nader sympatycznem przyjęciem.



Dzień Macierzy Śląskiej we Lwowie: Kwesta pań na Macierz.

Wyścigi dziesiątego pułku dragonów.

W dalszym ciągu popisów hippicznych, urządzanych corocznie przez konsystujące w Krakowie pułki



Wyścigi dziesiątego pułku dragonów: Publiczność oczekująca na ogłoszenie rezultatu wyścigów.

kawaleryi odbyły się w ubiegłą sobotę wyścigi dziesiątego pułku dragonów imienia księcia Liechtensteina.

Dzięki wspaniałej pogodzie zebrały się na torze wyścigowym tysiące publiczności, które z ogromnem zaciekawieniem śledziły przebieg sportowej zabawy. Wypadła ona pod każdym względem bez zarzutu.

Ruch na trybunach i obok nich był bardzo ożywiony, przy totalizatorze, gdzie „podawano rękę szczęściu“ panował ścisk nie do opisania. Krakowska publiczność żądna rozrywki w sezonie ógórkowym pospieszyła tłumnie na Błonia i podziwiała sprawność jeźdźców.

Wyścigi zorganizowane doskonale, stanowiły nawet dla niegrających w totalizatora piękną rozrywkę, zainteresowały też ogólnie publiczność. Były to biegi z wyłącznym udziałem samych amatorów, tak z pośród grona oficerskiego, jakoteż i szeregów żołnierskich, przyniosły też wiele niespodzianek, jakich nie ma się przy wyścigach jeźdźców zawodowych.

Narzekano tylko, że obsada totalizatora nie była odpowiadająca napływowi publiczności, z tego jednak powodu nie można winić komitetu, który prawdopodobnie słysząc tylu narzekających na ciężkie czasy. nie spodziewał się, że w Krakowie znajdzie się takie mnóstwo stawiających.

Szczególnej zainteresowały ogół biegi, w których brali udział podoficerowie.

Nagrodę honorową brygadyera, pułkownika Zaremby, jak również nagrodę właściciela pułku księcia Liechtensteina, zdobył porucznik Aljanćić, dobrze znany bywalcom turfu i najlepszy bezsprzecznie jeździec pułku. Nagroda komendanta pułku, pułkownika Dworzaka, przypadła nadporucznikowi Fanto.

Biegów było ogółem ośm, totalizator płacił stosunkowo bardzo dobrze.

Roman Żelazowski.

Jeden z najświetniejszych tragików teatru polskiego, Roman Żelazowski, artysta sceny lwowskiej, ukończył w zeszłym tygodniu szereg gościnnych występów w teatrze warszawskim. Występy Żelazowskiego w Warszawie były jednym z najcelniejszych momentów sezonu i jako czynnik wysoce artystyczny wskrzesiły tradycyę najświetniejszego okresu w historyi teatrów warszawskich. Warszawa znała doskonale swego dawnego ulubieńca z czasów, gdy Żelazowski był stałym członkiem i reżyserem teatru warszawskiego — to też powitała go entuzyastycznie w pierwszej chwili ukazania się jego na deskach w czasie tegorocznego letniego sezonu i zapełniała stale widownię teatru na wszystkich jego występach. W ciągu dwumiesięcznej gościny swojej w Warszawie, Żelazowski grał 49 razy, występując w najcelniejszych rolach swego bogatego repertuaru. Pomimo, że zespół teatrów warszawskich posiada dziś cały szereg wybitnych artystów rozporządzających tym samym wydziałem ról, w których występuje Żelazowski, znakomity nasz artysta zdołał w tem otoczeniu utrzymać się na należnem sobie stanowisku i grą swą w tak wysokim stopniu zainteresować teatralną publiczność warszawską, że teatr na występach jego stale był zapełniony, a cała prasa miejscowa zgodnym chórem witała każdą jego kreacyę, jako objaw wyższej sztuki, jako wykwit tego potężnego twórczego indywidualizmu, który w zakresie sztuki dramatycznej stwarza prawdziwe arcydzieła.

W cyklu występów Żelazowskiego najświetniejszą kreacyą była rola Ludwika XI. w znanej tragedyi Delavigne'a. Jest to jedna z tych ról, którą zapisał on się trwale na kartach historyi teatru polskiego, jedna z tych światowych kreacyi, w których talent jego błyszczy pełnią swoich rysów w zakresie tragicznym. Krytyka warszawska nie bez słuszności zaznacza, że rolą tą staje Żelazowski na tej wyżynie, na której królują zagranicą tej miary artyści, jak Coquelin, Irwing lub Rossi.

Wystarczy rzucić okiem na wspaniałą pełną głębokiej charakterystyki maskę artysty w tej roli. Odpowiada ona najzupełniej pojęciu tej postaci odtwarzanej z przedziwną intuicyą, kojarzącej w sobie potęgę woli, bezgraniczny egoizm i okrucieństwo, nie słabnące nawet wobec ponurego cienia i przeczuć zbliżającego się tragicznego końca. Żelazowski z artyzmem, będącym wybłyskiem talentu, podkreśla całą małość i nędzę tej duszy, trawionej wewnętrzną rozterką i strachem i ukazuje jej czysto ludzkie pobudki, moralną nicość. Mistrzowskie stopniowanie pierwiastka tragizmu, wyrażone potężnymi środkami, owiane jakby tajemniczą grozą, daje pełne siły i plastyki wrażenie, które długo trzyma widzów pod czarem jego środków artystycznych.

Dyrekcya teatrów warszawskich, pragnąc publiczności zapewnić w przyszłości dalszy ciąg tej biesiady artystycznej, jaką jest dla niej gościna Żelazowskiego, zaprosiła znakomitego artystę na gościnne występy w pełnym sezonie zimowym i da mu możność tym razem wystąpienia w repertuarze odpowiednim dla niego, a mianowicie w Ryszardzie III. Szekspira, „Szczęściu w zakątku“ i całym cyklu jego wielkich ról popisowych.



Roman Żelazowski: Znakomity artysta na występach gościnnych w Warszawie w roli Ludwika XI.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

16)

Ubrany był w skórzany kaftan ze starożytnym ryngrafem na piersi, na którym na pół zatarte widać było malowidło Pogoni litewskiej. Nogi miał obute w wysokie cholewy, sięgające aż poza kolana i spięte tamże paskiem rzemiennym. Przy boku wisiał mu w blaszanej, zardzewiałej pochwie, prosty miecz, może na Krzyżakach pod Grunwaldem zdobyty, z rękojeścią w kształcie krzyża, w ręku zaś dzierżył nowożytną odtylcową dubeltówkę, zabraną przed paru dniami Stanisławowi.

W tem uzbrojeniu stryjaszek Józ.f ze swą krępą. nabitą postawą wyglądał tak zabawnie, że ogólny śmiech wywołał. Nie zmieszał się jednak wcale, tylko stanął na środku pokoju z widocznem zadowoleniem na twarzy, jakby chciał powiedzieć:

— Podziwiajcie Koroniarze starożytnego rycerza litewskiego.

Smiano się więc, a Antek zawołał:

— Ki licho stryjaszku, cóż to, wybierasz się na wojnę?

— Taj jakże serdeńko, przyrzekłem bratankowi Stanisławowi, że bronić będę drzwi jego domu i dlatego tak uzbroiwszy się.

— Przeciw komu myślisz stryjaszek bronić drzwi domu Stanisława?

— Nie wiem braciaszku... ma być napad.

— Nie będzie żadnego napadu stryjaszku. Ale skąd u licha wyrwałeś tę okrutną czapę i ten kaftan i ten miecz z czasów wojen krzyżowych chyba?

— Skąd?... z Litwy serdeńko. Murawiew chciał to zabrać, ale ja dobrze ukrywszy. Szukali, ale nic nie znaleźli. Hi! hi! hi! Ja serce w tej zbroi chodził na niedźwiedzie sam jeden w Ihumeńskim powiecie, a tu zbójom zaleję sadła za skórę. Niech przychodzą, obaczą co to Litwin znaczy.

— Nie przyjdą stryjaszku żadne zbóje i niepotrzebnie tak się uzbroiłeś.

— Nic to nie szkodzi sercеż ty moje. I to dobrze, że zobaczycie jak Litwin prawdziwy wygląda. Może to wam odbierze ochotę do pretensyi do Litwy. Ale o czemże wy tu radziwszy.

— Wiesz stryjaszek co? zamierzamy ogłosić tu rzeczpospolitą.

— Nie wiem... nie słyszałem o tem. Cóż to będzie za rzeczpospolita? Koroniarska może, taka jaka dawniej bywszy?

— Nie, to nie będzie rzeczpospolita szlachecka, ale ludowa.

— Niby chłopska?

— Niema w Polsce chłopów, ani szlachty, jest tylko lud, pracownicy uciemiężeni przez kapitał, przez burżujów. W naszej rzeczypospolitej nie będzie kapitału, nie będzie proletaryatu, ani nędzy, ani ucisku, wszyscy wezmą udział w wielkiej uczcie życia.

Mówił to Antek stojąc, z oczami rozpromienionemi, głosem podniesionym, z zapałem, który nagle jego twarz bladą i chorobliwie wykrzywioną ożywił i prawie piękną uczynił. Anielka też patrzyła w niego jak w tęczę, z pewnego rodzaju dumnym zachwytem.

— Zniesiemy wszystkie burżujskie urządzenia — mówił dalej Antek — które wymyślono dla uciskania ludzi.

— Zniesiemy małżeństwo, które skuwa ludzi na całe życie i czyni ich nieszczęśliwymi — dodała Anielka — miłość będzie wolną...

— Taj serce, ja to słyszawszy już o tem — zaśpiewał stryjaszek Józef — tylko cóż powie na waszą rzeczpospolitą stanowy prystaw?

— Jaki stanowy prystaw? — zapytał Antek — nie rozumiem...

— W Rosyi naczelników powiatu nazywają stanowymi prystawami — tłumaczył Stanisław.

— Aha, rozumiem — zawołał Antek — ale któż tam dziś myśli o jakichś naczelnikach powiatów. Wszystko to wymieciemy, bo my tu teraz siłą, a nie jacyś tam stanowi prystawy.

— Hm! — mruknął stryjaszek Józef, zamyśliwszy się niby głęboko, a jego głęboko osadzone oczki biegały po obecnych z trudnym do określenia wyrazem ironii — osobliwszy to naród, ci Koroniarze, u nich wszystko z łatwością się robi. No, niech i tak będzie. Zmieciecie stanowych prystawów, ale taki jest gubernator, jest rząd, jest wojsko, które, uważasz serdeńko, ma karabiny, co biją na wiorstę...

— I my mamy broń.

— Więc będzie bitwa?

— Będzie... jeżeli się okaże potrzeba.

— No... a jak was pobiją?

— Nie pobiją... nie mogą pobić. Wojsko będzie za nami.

— Tak? ha... kiedy tak, to i dobrze. Będzie tedy rzeczpospolita polska.

— Nie polska, ale ludowa.

— Taki ja tego braciaszku nie rozumiem. Wszak jesteś w Polsce?

— Niema Polski.

— A gdzież się podziała? Nie słyszałem o tem, żeby się w ziemię zapadła. A może się zapadła?

— Nie zapadła się wcale, tylko w nowym ustroju świata, nie będzie narodów rozdzielonych granicami, ale jedna ludzkość.

— Pięknie... ja okrutnie kocham ludzkość... ale cóż będzie z Litwą serce?

— Nie będzie żadnej Litwy.

Stryjaszek Józef podniósł się, wyprostował i rzekł:

— Ot, głupstwo wierutne. Wy braciaszki róbcie sobie co chcecie, płodźcie nowe głupstwa, świat widziawszy ich tyle, ale mi Litwy nie ruszajcie. A wara, a zasię, a kysz! a kysz!

I zawróciwszy szedł ku drzwiom, tu się zatrzymał i rzekł:

— Ty serce Antosiu nie rób głupstw. Daj ty pokój wszystkiemu, jedź do Lwowa, kończ nauki i będzie z ciebie człowiek, o rzeczypospolitej nie myśl. Przyjdzie wojsko z generałem, zabierze was i wyśle na Sybir.

— Smiej się stryjaszek z tego. Nie przyjdzie wojsko z generałem i nie wyśle mię na Sybir.

— Obaczymy. A też paniusia Anielka niech nie myśli o wolnej miłości, bo co będzie, jak w tej wolnej miłości urodzi się takie maleńkie dzieciątеczko? Hi! hi! hi! co będzie wtedy? A paniusia nie wiedziawsza o tem, że dziś Siergiej Bolesławowicz Kozłowskij, koleżski asesor, oświadczywszy się mamusi paniusi. Hi! hi! hi!

To rzekłszy stryjaszek Józef ciężkim krokiem ruszył ku drzwiom, otworzył je, wyszedł i z trzaskiem zamknął je za sobą. I słychać było, jak się ciągle śmiał głośno.

XXIII.

Siergiej Bolesławowicz miał tę naturę, że lubił kuć żelazo póki gorące, i tego, co postanowił, nie zwlekać, ale zaraz wykonać. Dostawszy, jak to mówią, odkosza od pani Magdaleny Schmid, nie zrażony tem wcale, zdecydował się uderzyć do pani Zenobii Kapuścińskiej, która choć stara, brzydka, zła, a w dodatku będąca z Siergiejem na stopie wojennej, a przytem obdarzona takim gagatkiem jak „Ferdzio sierotka“, posiadała jednak w oczach koleżskiego asesora tę arcypoważną zaletę, że była posiadaczką dziesięciu tysięcy rubli w autentycznej monecie, kurs w kraju mającej.

Ten to wzgląd, przyznać należy, bardzo poważny, zmusił petersburskiego czynownika do zapomnienia wszystkich uraz, szyderstw z jego mocno sfatygowanych „niewypowiedzialności“, bolesnego żartu Ferdzia ze szpilkami w krześle i z pęcherzem na plecach, nazywania dostojnej osoby Siergieja „małpą zieloną“ i t. p. lamparcich figlów i wyzwisk.

Podczas więc, kiedy w sali Stanisław, Antek, Anielka i stryjaszek Józef toczyli spór o przyszłą rzeczpospolitą, mającą być nazajutrz w sąsiedniem miasteczku proklamowaną, Siergiej zapomniawszy zupełnie o „szpionie“ Jasińskim, zajęty jedynie myślą zdobycia grosza, wprost z ogrodu, w którym powziął genialną myśl zdobycia wcale nie nadobnej ręki pani Zenobii, ruszył do jej pokoju.

Zajmowała ona dużą komnatę o trzech oknach, wychodzących na ogród, w której wraz z Ferdziem sierotką się mieściła i nikogo do niej nie wpuszczała. To też, gdy Siergiej dyskretnie do drzwi zapukał, zdziwiona była bardzo i zaniepokojona mocno, bo zamknąwszy starannie okna i drzwi na klucz, rozsiadła się wygodnie na aksamitnym fotelu i dobywszy z pod jedwabnej sukni olbrzymi worek, podobny do dziadowskiej torby, wysypała z niego paczki bankowych biletów na stół i liczyć je, rozkoszowała się ich różnobarwnym wyglądem, marząc o tem, jak, dzięki tym pieniądzom, założy najwytworniejszą instytucyę w Warszawie z najpiękniejszemi pannami, i jaki z tego źródła nieprzebrany mieć będzie dochód.

— Dam prystawowi dwieście blatów i wszystko będzie dobrze — mówiła sobie uśmiechając się obleśnie.

Właśnie w chwili takich marzeń, mających uszczęśliwić Warszawę i jej Ferdzia sierotkę, ozwało się pukanie Siergieja do drzwi. Wieczór już zapadał, ogromne lipy, rosnące pod oknem, rzucały na pokój mroczny cień, i pani Zenobia przeraziła się mocno, myśląc, że to jakiś napad na jej pieniądze, rozłożone na stole i błyszczące tęczowemi barwami „Katarzynek“, jak storublówki nazywała w gwarze warszawskiej. Tem wydawało jej się to prawdopodobniejszem, że do jej pokoju nikt z mieszkańców dworu w Górach nigdy nie przychodził i nigdy nie pukał.

Resztki czerwonych włosów stanęły jej dębem na głowie i podniosły sztuczną perukę i tak już fantastycznie przekrzywioną, dzięki pochłonięciu znacznej ilości kieliszków wina i likieru przy obiedzie, miała jednak tyle przytomności, że co prędzej zgarnęła rozłożone banknoty i zapakowała je do przepaścistej torby, umieszczonej pod suknią jedwabną. Uskutecznіwszy to, gdy pukania poczęły się powtarzać, zapytała głosem nieco drżącym:

— A kto tam do pierona?

— Eto ja, lubieżna damo.

— Co za ja?

— Ja Siergiej Bolesławowicz Kozłowskij.

— Kto taki? — zawołała „lubieżna dama“, nie dowierzając własnym uszom.

Ale gdy po raz drugi usłyszała to nazwisko, wypowiedziane przyciszonym dyskretnie i jak najsłodszym głosem, nie mogła wątpić, że ten w „podartych portczętach czynownik“ puka do jej wdowieńskich drzwi. Pierwotne zdziwienie zmieniło się teraz w jej wyobraźni w obawę. Jak błyskawica przebiegła jej przez głowę myśl, że takie niespodziewane odwiedziny znienawidzonego Siergieja i do tego o zmroku, mają jakieś zbrodnicze cele, i że prawdopodobnie ten „goły jak bizoń“ czynownik, korzystając z ciemności i samotności, czyha na całość jej „Katarzynek“, tak starannie ukrytych w przepaścistej torbie. Wszak popełniła ona grube głupstwo, chowając w obecności wszystkich te drogocenne papierki do owej torby, że Siergiej to widział i teraz przychodzi zabrać jej ten skarb, na którego płodną i zbawienną dla zdrowia publicznego działalność, tak dużo przed chwilą liczyła. Znowu jej włosy podniosły jeszcze wyżej przekrzywioną perukę, ale zdobywszy się na rozpaczliwy krok, jak wszyscy ludzie tchórzliwi, usiłując głośnym wrzaskiem zastąpić brak odwagi, krzyknęła:

— Czego acan do pierona chcesz?

A acan słodziutkim głosem odezwał się z poza drzwi:

— Lubieżna damo, pozwól mię wpuścić do swej komnaty.

— Nie wpuszczę!

— Lubieżna damo!

— Ki dyabli! jak acan śmiesz nazywać mnie lubieżną damą? Ja jestem porządna kobieta, nie lubieżna.

Odzyskała zupełnie przytomność i pewność siebie i krzyczała teraz głosem przekupki warszawskiej:

— Won mi z pod drzwi wyporku petersburski! Będzie mnie tu wyzywał od lubieżnic. Jak wyjdę to ci pyski spierę... a to co? To żem nieszczęśliwa wdowa, że mnie po zbójecku obdarli przy sukcesyi, to lada szuja ma sobie mną gięby wycierać! O niedoczekanie twoje. Won mi, mówię, pókim dobra!

Już teraz nie lękała się niczego. Przypomniawszy sobie marną, zawsze chwiejącą się na cienkich nogach postać Siergieja, przekonana była, że jednem uderzeniem swej potężnej i wcale nie kobiecej ręki, powali go na ziemię. Wszakże drzwi nie myślała otwierać, bo i po co?

Siergiej nieзrażony tem przyjęciem, przygotowany zresztą na nie, nie przestawał molestować, by go „lubieżna dama“ raczyła wpuścić do środka, gdyż ma ważny do niej interes.

— Jaki jenteresz, pytała pani Zenobia — co ze jenteresza acan możesz mieć do mnie? Nie zawracaj mi acan kontramarki i wynoś się, pókiś cały.

Ale Siergiej nie ustępował i coraz słodszym głosem błagał o chwilkę rozmowy sam na sam, twierdząc, że to, co ma powiedzieć, jest rzeczą poważną i bezpośrednio panią Zenobię obchodzącą. Zaciekawiona wreszcie, co jej tak ważnego ma zakomunikować Siergiej, znudzona jego naleganiami, rzekła:

— Więc gadaj acan bez drzwi, słucham.

— Pozwólcie lubieżna damo, żebym wszedł do komnaty waszej.

— Nie potrzeba, gadaj acan bez drzwi, słucham.

Więc Siergiej widząc, że „lubieżna dama“ ubłagać się nie da, przybrał odpowiednią minę, ukląkł na jedno kolano, przyczem jego spodeńki nową do tkliwą ranę otrzymały, przeto złożył jak do modlitwy, zapominając, że pani Zenobia tego wszystkiego z poza zamkniętych drzwi widzieć nie może i zawołał:

— Lubieżna damo, najpokorniej proszę was oddajcie mi swą piękną rączkę, ja się chcę na was ożenić. Zawiozę was do Pitra. Ja koleżski asesor, mam czyn piękny, naczalstwo mnie szanuje, a chociaż ja Bolesławowicz, to cóż działać, w błoto twarzą nie uderzę. Czy pozwolicie mię słyszeć?

— Słyszę, ale nijak zrozumieć nie mogie.

— Taż to proste lubieżna damo, ja chcę się na was ożenić i proszę o rączkę.

— Co? pan się chce ze mną ożenić?

— Tak, lubieżna madam.

— Czy naprawdę?

— Ta jakże, naprawdę. Przykażcie, a wieńczenie zaraz będzie.

— Zaraz, to nie można. Tu by nam ślubu nie dali. Musimy się rozmówić.

— O to ja proszę. Pozwólcie madam wpuścić mię do waszej komnaty, a my wszystko obsądzimy jak i co zdziałać.

— Zaraz!



Ubrany był w skórzany kaftan ze starożytnym ryngrafem na piersi, na którym na pół zatarte widać było malowidło Pogoni litewskiej.

Pani Zenobia zdziwiona niezmiernie, ale zarazem zachwycona propozycyą Siergieja Bolesławowicza, zapomniała o wszystkich swoich obawach i niebezpieczeństwach, jakoby grożących zawartości jej przepaścistej kieszeni, ukrytej pod suknią jedwabną, i coprędzej skoczyła do lustra, by poprawić swą zbakierowaną mocno perukę i nieład w ubraniu przyprowadzić do porządku. Stanąwszy przed zwierciadłem oddającem z nieskażoną wiernością wszystkie jej wdzięki, twarz żółtą i pomarszczoną, wielki nos burakowego koloru, brodawki porosłe siwawymi włosami i jedno oko bielmem zaszłe, doprowadziła przedewszystkiem do należytej pozycyi fantastycznie przekrzywioną perukę, poprawiła czepeczek z pomarańczowemi wstążkami, coprędzej pudrem posypała swe nadobne oblicze i plastrami różu ukrasiła swe zwiędłe policzki. Dokonawszy tych czynności szybko i z wprawą, świadczącą, że bardzo często takiemu zajęciu się oddawała, poczęła różne miny przybierać, usta sznurować, uśmiechać się rozkosznie, bacznie śledząc w lustrze te grymasy, by się przekonać, który z nich większe wrażenie zrobi na koleżskim asesorze i zapewni jej zwycięstwo wobec propozycyi przezeń uczynionej. Nie była bowiem pewną, obdarzona z natury praktycznym zmysłem i podejrzliwością, właściwą ludziom nie będącym w zgodzie z przepisami prawnymi, czy Siergiej na seryo myśli o pojęciu jej za małżonkę i czy czasem poza jego propozycyą nie kryje się jaka myśl zdradziecka.

Nakoniec przybrawszy najwdzięczniejszy, na jaki zdobyć się mogła, uśmiech, krokiem posuwistym, szeleszcząc jedwabiami swej jasno żółtej sukni, zbliżyła się do drzwi, klucz w zamku zakręciła i ujrzała Siergieja klęczącego przed progiem w pozycyi, któraby umierającego rozśmieszyć mogła. Klęczał on nie bacząc już wcale na dezolacyą, jaką taka pozycya mogła sprawić w jego nieszczęsnych „niewypowiedzialnościach“, zgięty do połowy, błyszcząc nagą łysiną na głowie i mając ręce złożone jak do modlitwy. Całość wyrażała błagalną prośbę i pokorę, któraby nawet nieczułe głazy do łez wzruszyć mogła.

Wzruszyła też tkliwe serce pani Zenobii Kapuścińskiej. Zakryła wstydliwie obu rękami swe oblicze i szepnęła:

— Oh! wstań pan! wstań! gdyby kto zobaczył, jakaż kompromitaczya!

— Nie, jej Bohu, nie wstanę, dopóki wy, lubieżna madam, nie dacie mi słowa. że będziecie moją żonką.

— Nie nazywaj mię pan lubieżną, bo to, jak Bozię kocham, nie przystoi.

— Co mnie cały świat, napluć na niego, nawet na Iwana Kononowicza...

— Wstań pan do pierona, bo się pogniewam i drzwi panu przed noszem zamknę.

— Ha, kiedy tak madam gadacie, to wstanę.

Z trudnością przyszło to wykonać biednemu Siergiejowi Bolesławowiczowi. Najprzód klęczał dość długo, a że był chudy i nożyska miał cienkie jak patyczki, przytem nie posiadając pod mocno sfatygowanemi „inieksprimablami“ potrzebnych czterech łokci płótna, dotkliwy uczuł ból w kolanach od twardej posadzki. Stękając tedy, sykając, pomagając sobie długiemi rękami, podniósł się nakoniec, ale przy tych wysiłkach nie wytrzymały nieszczęsne spodeńki i nagle rozległ się złowrogi trzask, świadczący o bolesnej, ostatecznej katastrofie.

Ale właśnie w chwilach wielkich nieszczęść poznać można prawdziwie dzielny i męski charakter. Siergiej Bolesławowicz nie zważając na ten złowieszczy trzask, przekonany zresztą będąc, że tego co się dzieje z tyłu, jego nadobna dama widzieć nie może, przytrzymując lewą dłonią usiłujące zadość uczynić prawu powszechnego ciążenia nieszczęsne „niewypowiedzialności“, prawą wyciągnął ku swej damie, chwycił ją gorączkowo za rękę i głośno mlaskając ucałował.

Ten pocałunek, umieszczony na kościstej i włochatej ręce pani Zenobii, ostatecznie ją pokonał i zapewnił tryumf Siergiejowi Bolesławowiczowi. Od tylu bowiem lat nikt tej ręki, co prawda nie stworzonej do miłosnego pocałunku, do ust nie przyciskał, a przytem w sferze, w której od dzieciństwa żyła ta reprezentantka pewnych mętów warszawskich, nie ma zwyczaju całowania kobiet po rękach. Mile więc uderzył panią Zenobię ten objaw galanteryi, uśmiechnęła się wdzięcznie, wstydliwie usiłowała wycofać rękę, którą Siergiej kłaniając się (a biedne jego kości trzeszczały przytem głośno) nieustannie i namiętnie całował.

— Chodźże pan do pokoju — rzekła nakoniec pani Zenobia — bo tu nas kto może zobaczyć i będzie kompromitaczya!

Weszli więc oboje i pani Zenobia starannie drzwi za sobą zamknęła i poprosiwszy z gracyą jej właściwą, by niespodziewany wielbiciel siadł obok niej na kozetce, rozpoczęła z nim miłosną konferencyą. Zgadzała się więc naprzód na zostanie małżonką koleżskiego asesora, zgadzała się na to, by porzucił urząd w Petersburgu, który mu przynosił ogółem czterdzieści rubli na miesiąc i przeniósł się do Warszawy, gdzie wspólnemi siłami utworzą wspaniały i dochodny zakład z pannami.

— Z prystawem tylko będzie kłopot — gadała wdzięcząc się pani Zenobia — ale pan przecież masz tytuł koleżskiego asesora, a to coś znaczy.

— Da, jakże? znaczy. Już wy madam o to się nie troszczcie, dam ja sobie radę z prystawem. Ja koleżski asesor, mam czyn i w „tupik“ zapędzę wszystkich prystawów. Ot co jest!

— Szkoda wielka, że ten kuzyn nasz panu nie zapisał choć kilku tysięcy blatów — zauważyła pani Zenobia — przydałyby się, bo taki zakład będzie dużo kosztował.

— Da jakże nie zapisał? zapisał.

— Co zapisał? marne dwieście blatów!

— Nie bójcie się madam, już ja u pan Stanisław to zdziałam, że da mi jeden albo drugi tysiączek.

— Zrobisz pan to?

— Da, poczemu nie. To dobry człowiek ten pan Stanisław, on mi da. Jakżeby nie dał!

Ucieszyła się tem oświadczeniem madam Zenobia i nalegać poczęła, aby Siergiej nie zwłócząc zajął się tą sprawą i koniecznie „wydębił“, jak się wyraziła, choć ze dwa tysiące „fajgli“ (także jej wyrażenie). Siergiusz przyrzekł uroczyście, a gdy ta sprawa była skończona, zapytała:

— A cósz będzie z Ferdziem?

— Da, co ma być, ja jego wezmę w żelazne rękawice, nu!

Przy tych słowach zaświeciły się złowrogo oczy koleżskiego asesora, bo czuł do chłopaka gwałtowny rankor, za nazywanie przyszłego ojczyma „małpą zieloną“, za wywieszanie nań języka, za szpilki w krześle, za ów pęcherz na plecach, który tyle śmiechu w swoim czasie wzbudził. Mówiąc o żelaznych rękawicach machnął kilka razy groźnie ręką, co miało świadczyć, że zamierza ćwiczyć Ferdzia sierotkę. Ale oburzyła się na to srodze pani Zenobia:

— A wara! a zasię! Cósz to sobie acan myślisz, że jabym pozwoliła bić me dzieciąteczko, moją sierotkę! O! niedoczekanie twoje! oczy bym ci wydrapała, pyski zbiła! Jeszcze czego!

I taki przybrała groźny wygląd, że Siergiej lękając się, aby kwestya „Ferdzia sierotki“ nie rozbiła jego sercowych zamiarów, zmiękł odrazu, znów zaczął całować kosmate łapy swojej przyszłej i uroczyście przyrzekł, że nie tknie nigdy jej „dzieciąteczka“, mówiąc sobie w myśli:

— Da, czorcie babo, niech no ja zostanę twym mężem, to tak wysiekę rózgami twego synka „mazurika“, że przez dwa tygodnia siedzieć nie będzie mógł, a i z tobą dam sobie radę. Uwidzimy, kto komu mordobicie sprawi.

Zapanowała wreszcie zgoda między przyszłymi małżonkami, na chwilę zakłócona sprawą Ferdzia i pani Zenobia mówiła:

— Jeszcze jeden warunek. Musisz pan Ferdzia przyznać za swego syna, bo te hycle w parafii napisali w mentryce, że jest synem niewiadomego ojca.

— Da, tego pana Zygmunta Kozłowskiego!

— E! — roześmiała się pani Zenobia — prawdę rzekłszy to ja szama na pewno nie wiem, czyim on synem. Mężczyźni, to pedam panu, latali tak za mną, jak wściekli. Czy to ja mogie wiedzieć, czyim jest Ferdzio synem? Hi! hi! hi! Ale ja ju tera ustatkowałam się i porządną jezdem kobietą.

W tejże chwili ktoś gwałtownie począł się dobijać do drzwi i rozległ się głos Ferdzia:

— Otwórz mama do pierona, bo drzwi wywalę.

Mama pospieszyła co prędzej zadość uczynić żądaniu synka. Wpadł on do pokoju jak z procy i stanął, ujrzawszy w czułem sam na sam swą matkę z Siergiejem. Oczy wytrzeszczył, usta roztworzył i zawołał:

— A to co?

— Ferdziu — rzekła słodkim głosikiem matka — ten pan będzie twoim ojcem, a moim mężem.

— Co? mama się z nim ożeni? Z taką małpą zieloną! Ej, niech mi mama peleryny nie zawraca i da dwa złote, bo z Maćkiem ze stajni będę grał w oko! Meeee!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Siódmy wszechświatowy kongres esperantystów w Antwerpii.

W dniu 21 sierpnia b. r. otwarto w Antwerpii siódmy międzynarodowy kongres esperantystów, w którym wzięło udział około dwu tysięcy uczestników z najrozmaitszych części świata. Polonia reprezentowaną jest dość licznie, w pierwszym rzędzie przez twórcę nowego języka dra. L. L. Zamenhofa z Warszawy. Krakowski komitet kongresowy tworzą pp. Dr. Rosenstock, dr. Tislowitz i Rudnicki. Imieniem polskich esperantystów przemawiał p. Grabowski z Warszawy. Przemówienie jego, zakończone pięknym wierszem własnego układu, przyjęto hucznymi oklaskami.

Kongres zagaił prezes komitetu Van der Biest, następnie zabrał głos prezydent Antwerpii, witając uczestników zjazdu imieniem miasta, twórca języka dr Zamenhof i reprezentanci rządów: Belgii, Brazylii, Chile, Chin, Guatemali, Hiszpanii, Norwegii, Persyi, Rosyi, Rumunii i Stanów Zjednoczonych. Reprezentant Hiszpanii wręczył drowi Zamenhofowi nadany mu przez króla Alfonsa order Izabelli Katolickiej. W dalszym ciągu przemawiali przedstawiciele miast Pragi i Brugge, Czerwonego Krzyża i francuskiego Turing Klubu oraz cały szereg delegatów różnych narodowości.

Tego samego dnia i następnych odbyły się zebrania sekcyjne lekarzy, prawników, farmaceutów, kolejarzy, literatów, urzędników publicznych i handlowych, narodów, nie posiadających samoistnego bytu politycznego, katolików, wolnomyślnych i t. d.

Na posiedzeniach ogólnych, jakie odbywały się we wtorek, środę i czwartek omawiano przy bardzo ożywionej dyskusyi, sprawę ogólnej organizacyi esperantystów. Kwestya ta, mająca wielu przeciwników, została niezupełnie rozwiązaną, przyjęto regulamin, dający prawo głosu na kongresach tylko delegatom wybranym przez towarzystwa dla propagandy języka, które opłacą pewną wkładkę na rzecz centralnego biura esperanckiego w Paryżu, celem zaś ściślejszej organizacyi wybrano komisyę, która ma sprawę dokładnie przestudyować i na następnym kongresie przedłożyć odpowiednie wnioski i gotowy regulamin.

W piątek po południu urządzono dla uczestników kongresu wycieczkę statkami po Skaldzie. Dwa olbrzymie parowce, przystrojone flagami o barwach belgijskich i esperanckich powiozły publiczność, należącą do kilkudziesięciu narodowości w stronę ujścia Skaldy, a następnie w górę rzeki, dając tem samem sposobność oglądnięcia dokładnego całego portu, zapełnionego tysiącami łodzi i okrętów.

Wieczorem odbył się tradycyjny bal, na którym bawiono się ochoczo do białego rana.

Na porządku dziennym ostatniego ogólnego zebrania, które odbyło się w sobotę, była sprawa przyszłego kongresu. Przewodniczący, zdając sprawozdanie z całorocznej czynności stałego komitetu kongresowego, obwieścił, że na miejsce przyszłorocznego zebrania wybrał komitet Kraków i poddał wniosek pod głosowanie. Grzmiące oklaski były wyrazem opinii uczestników.

Zabrał głos dr. Rosenstock z Krakowa i w dłuższem przemówieniu, przerywanem często gromkimi oklaskami, podziękował za wybór. Nastąpiły oficyalne przemówienia i kongres zakończył się odśpie-



Siódmy wszechświatowy kongres esperantystów w Antwerpii: Związek lekarzy esperantystów z prezesem drem d'Or'em z Paryża i twórcą języka drem Zamenhofem w pośrodku.



Siódmy wszechświatowy kongres esperantystów w Antwerpii: Ogólne zdjęcie uczestników kongresu.

waniem hymnu esperanckiego i okrzykiem: Gis revido en Kraków!

Z jaką sympatyą został przyjęty Kraków, świadczy fakt, że już wiele osób zgłosiło swe uczestnictwo.



Siódmy wszechświatowy kongres esperantystów w Antwerpii: Grupa esperantystów z krajów austryackich.

Z Anglii pewnych jest około pięćdziesiąt osób, Niemcy, którzy wówczas obradować będą w Gdańsku, zjadą gromadnie, przybędą również uczestnicy kongresu esperantystów katolików w Budapeszcie pod przewodnictwem opata Richardsona.

Należy się spodziewać, że społeczeństwo nasze dołoży wszelkich starań, aby przyjęcie wypadło jak najwspanialej i przekonało obcych, że opowiadania o „staropolskiej gościnności“ nie są tylko czczym wymysłem.

Echa zbrodni przy ulicy Długosza we Lwowie.

Zdawało się już, że usiłowania lwowskiej policyi, aby dostać w swe ręce morderców ś. p. Bieniasza i Oryszczaka, pójdą na marne, a zbrodniarze, urągając ludzkiej sprawiedliwości, broić będą dalej bezkarnie. Stało się jednak inaczej, domniemany morderca dostał się przypadkowo w ręce władzy.



Echa zbrodni przy ulicy Długosza we Lwowie: Domniemany sprawca, Julian Hanicz, znany na bruku lwowskim pod nazwiskiem: „włamywacza z latarką“.

Przed niespełna dwoma tygodniami zgłosił się w więzieniu sądu karnego we Lwowie jakiś elegancki młodzieniec, który chciał odwiedzić jednego z aresztantów. W przybyłym poznali dozorcy dobrego swego znajomego i częstego gościa w kryminale, którego rysopis zgadzał się zarazem z rysopisem jednego z morderców z ulicy Długosza. Zatelefonowano natychmiast do policyi, przybyli ajenci i odstawili podejrzanego na inspekcyę, gdzie natychmiast rozpoczął jego przesłuchanie komisarz Pisarski, prowadzący śledztwo w sprawie zagadkowego morderstwa.

Był to Julian Hanicz, dwudziestopięcioletni obiecujący młodzieniec, niegdyś kolporter, obecnie bez zajęcia. Brał on udział w kilkunastu większych włamaniach we Lwowie, występował także gościnnie i na prowincyi, w więzieniu siedział już kilkakrotnie.

Dzienniki lwowskie, podając życiorys aresztowanego, twierdzą, że jest on wiernym portretem „króla włamywaczy“ Wasińskiego. Dopuścił się on licznych kradzieży, dokonywanych zawsze z nadzwyczajną śmiałością i sprytem. Gdy mieszkanie, które chciał okraść, było zamknięte od wewnątrz, najspokojniej wycinał w drzwiach otwór, wsuwał rękę i otwierał zamek. Ponieważ przy tego rodzaju operacyach posługiwał się latarką, znanym był na bruku lwowskim pod mianem „włamywacza z latarką“.

Całą dzielnicę, w której leży ulica Długosza, zmonopolizował Hanicz dla siebie, a kolegów zawodowych potrafił do tego stopnia sterroryzować, że żaden z lwowskich złodziei nie poważyłby się nawet zrobić mu w jego rejonie konkurencyi. Ubierał się bardzo elegancko, sądzą też powszechnie, że kalosze i płaszcz gumowy, znalezione w ogrodzie botanicznym, należą do niego. Zdjął je chwilowo, aby mu nie przeszkadzały „przy pracy“.

Na dwa dni przed morderstwem chciał się Hanicz dostać do mieszkania pp. Borkowskich, spłoszyła go jednak gospodyni, która zapamiętała sobie jego rysy i obecnie poznała go na fotografii. Poznał go także i p. Pielecki.

Wszystko to przemawia przeciw niemu, on jednak ciągle przeczy, jakoby miał brać udział w tej sprawie i zachowuje się wprost cynicznie. Szczególniej ucieszyło go odstawienie z aresztów policyjnych do więzienia sądu karnego, tutaj bowiem czuje się bardziej swojsko i swobodnie, odmawiając w dalszym ciągu zeznań w sprawie ostatniego zarzucanego mu morderstwa.

Ponieważ onegdaj zmarła i druga ofiara bandyckiego napadu, Mikołaj Oryszczak, domniemany sprawca, Hanicz, odpowiadać będzie przed sądem za podwójny skrytobójczy mord na osobach ś. p. Bieniasza i Oryszczaka i usiłowany zamach morderczy na osobie koncepisty policyi, p. Kandiaka.

Zjazd delegatów Towarzystwa „Pomoc Bratnia“ w Zakopanem.

W sierpniu odbył się w Zakopanem zjazd delegatów rozmaitych grup młodzieży polskiej opiekujących się „Domem zdrowia“, przeznaczonym dla piersiowo chorej młodzieży.

Humanitarna instytucya, nosząca piękne miano „Bratniej Pomocy“, istnieje już lat dziesięć, dotychczasowy zakres jej działania był jednakowoż dość skromny, a to z powodu zbyt szczupłych funduszów i słabego poparcia społeczeństwa. Robiło się co mogło i jak mogło, wszyscy jednak czuli, że należy dążyć do coraz lepszych urządzeń, Dom Zdrowia przyjmował bowiem wprawdzie po trzydziestu chorych, pomieszczenie ich było dość niewygodne, a warunki leczenia w zakładzie, położonym przy bardzo ludnej ulicy, nieszczególne.

Dopiero w roku bieżącym wpłynęło około dwadzieścia tysięcy koron na budowę nowego Domu Zdrowia, a fundusz ten w połączeniu z dawnemi ofiarami ś. p. Zygmunta Gnatowskiego i Andrzeja Toczyłowskiego, pozwolił pożytecznej instytucyi zejść na nowe tory.

Ze sprawozdania Zarządu, złożonego na zjeździe, dowiadujemy się, iż w bieżącym roku przystąpiono już do budowy nowego sanatoryum na świeżo nabytej parceli na Gubałówce. Na razie mieścić się tam będzie około pięćdziesiąt osób, jest jednak nadzieja, że społeczeństwo poprze szlachetne usiłowania i umożliwi budowę projektowanych pawilonów, w których znalazłoby opiekę i pomoc przynajmniej stu pacyentów. Gruźlica zbiera pomiędzy naszą młodzieżą corocznie obfite żniwo, a przecież w niej tylko nadzieja lepszej przyszłości. Na uskutecznienie przedsięwzięcia potrzeba około dwustu tysięcy koron, czyli ośmdziesiąt tysięcy rubli, a nie wątpimy, że suma ta się znajdzie.



Zjazd delegatów Towarzystwa „Pomoc Bratnia“ w Zakopanem: Uczestnicy zjazdu z prezesem drem J. Żychoniem w pośrodku. (Fot. D. Połątkiewicz).

„Bratnia Pomoc“ mieści się już w nowym domu, zakupionym wraz z parcelą w najodpowiedniejszem miejscu, kończy się budowa gospodarczego pawilonu, obliczonego na sto osób, wykończają się instalacye do centralnego ogrzewania, wodociągu i kanalizacyi.

Z tego widać dokładnie, że Zarząd „Bratniej

Pomocy" nie próżnował, zjazd delegatów wyraził mu też zupełne uznanie i podziękowanie za jego energię, zapobiegliwość i poświęcenie, wybierając ponownie przez aklamacyę dra Żychonia, jako prezesa; drowę Kuczewską, jako administratorkę „Domu Zdrowia"; dra Kuczewskiego, jako lekarza; dra Brzezińskiego, drowę Bronisławę Dluską i p. Korniłowicza, jako członków Rady nadzorczej.

Postanowiono zwrócić się do władz krajowych, do instytucyi publicznych, gimnazyów męskich i żeńskich i do ogółu młodzieży, która powinna wytężyć swe siły i poruszyć zastępy swych rodziców i krewnych, aby uzyskać od nich środki ratunku dla swych chorych kolegów.

Miejmy nadzieję, że starania te uwieńczy pomyślny skutek i już w roku przyszłym wzniosą się na placu upragnione mury!

Rozruchy choleryczne we Włoszech.

Pomimo szumnych obwieszczeń rządu włoskiego, który obawiał się, aby skutkiem obawy zakażenia, nie zmniejszył się przypadkiem napływ zagranicznych gości na uroczystości jubileuszowe zjednoczenia Włoch, dziś nie ulega już najmniejszej kwestyi, że na półwyspie apenińskim cholera szerzy się w zastraszający sposób i coraz bardziej zbliża się do Wenecyi. Jedno z pism niemieckich podaje nawet wykaz statystyczny co do cholery, utrzymywany jednak w tajemnicy. Według niego od czerwca do 12. sierpnia było w rozmaitych okolicach Włoch 5682 wypadków zasłabnięcia na cholerę, do końca sierpnia cyfra ta doszła do siedmiu tysięcy.

Polityka rządu włoskiego, sprzeciwiająca się umowom międzynarodowym zemściła się też i na nim samym, gdyż stała się powodem groźnych rozruchów, gdy po niewczasie chciano energicznie przeprowadzić zarządzenia anticholeryczne, aby przeszkodzić rozwleczeniu zarazy.

Widownią niepokojów były okolice Kalabryi. Władze obawiały się, że dojść może do przedostania się cholery z Sycylii do Kalabryi, zwłaszcza, że ludność milczała o każdym wypadku śmierci i nie zawiadamiała o tem urzędu sanitarnego. Doszło nawet do tego, że zwłoki zmarłych grzebano w tajemnicy w pobliżu domów.

Nareszcie zdecydowano się na krok stanowczy. Do Verbi Caro wysłano lekarza okręgowego z lazaretem polowym Czerwonego Krzyża, co wśród miejscowej ludności wywołało ogromne wzburzenie.



Rozruchy choleryczne we Włoszech: Procesya błagalna o odwrócenie zarazy w jednem z miast kalabryjskich.

Powtórzyło się to samo, co działo się w głębi Rosyi, niesumienni agitatorzy poczęli głosić, że sami lekarze są roznosicielami zarazy. Gdy komisya polecila urządzić wodociąg i zarządziła grzebanie zwłok pod kontrolą lekarską, tłum z okrzykiem: Precz z truciciełami! uderzył na budynek, w którym mieścił się urząd gminny i podpalił go. Służący gminny, który bronił wstępu, zginął ugodzony siekierą w głowę.

Ekscedenci zburzyli następnie urząd telegraficzny i przerwali połączenia, urzędnik zdołał szczęśliwym trafem ocalić się uciekając przez ogród. Także burmistrz, przeciw któremu zwracała się głównie wściekłość tłumu zdołał się wraz z rodziną uratować.



Rozruchy choleryczne we Włoszech: Bogata rodzina włoska, przebywająca w górach z obawy przed cholerą.

Karabinierzy okazali się bezsilnymi wobec roznamiętnionego tłumu, dopiero gdy z Cosenzy nadeszły posiłki i kompania piechoty, nastał względny spokój. Aresztowano przeszło pięćdziesiąt osób.

I w innych okolicach półwyspu trzeba było przemocą uspokajać wzburzone tłumy, pisma włoskie milczą jednak o tem z łatwo zrozumiałych powodów.

W całych Włoszech odbywają się publiczne procesye błagalne o odwrócenie zarazy, część bogatszych mieszkańców przeniosła się w góry z obawy przed cholerą i tam używa świeżego powietrza i przymusowego wypoczynku.

W dowód wdzięczności.

Maryenbad, uzdrowisko pierwszorzędnego znaczenia i światowej sławy, ma bezsprzecznie bardzo wiele do zawdzięczenia zmarłemu królowi angielskiemu Edwardowi VII., który zjeżdżał tu prawie corocznie szukając wypoczynku po wytężającej pracy i poratowania nadwątlonego zdrowia.

Był to, można powiedzieć, najpopularniejszy z koronowanych gości Maryenbadu, który wiódł tutaj życie jak przeciętny filister, zapominając bodaj na chwilę o swej potędze i władzy, a oddając się tylko przyjemnościom życia kąpielowego. Tak się przynajmniej wszystkim zdawało.

Tymczasem w zaciszu domowego ogniska władcy zjednoczonych królestw i króla mody wrzała praca w najlepsze, co chwila zjeżdżali kuryerzy z Londynu z depeszami. Z Maryenbadu wychodziły wskazówki, według których regulowano europejską i światową politykę.

W ślad za swym królem zjeżdżali do Maryenbadu i przedstawiciele arystokracyi i plutokracyi angielskiej, należało bowiem do dobrego tonu spotkać się z królem Edwardem na promenadzie i zostać potem zaproszonym na śniadanie lub obiad. Także i ekscentryczni Amerykanie, choć z krwi i kości demokraci, nie mogli się oprzeć pokusie, by na własne swe oczy nie zobaczyć prawdziwego króla, spacerującego z szklaneczką na wodę, jak zwykły śmiertelnik, ściągali też gromadnie i zostawiali tutaj swe dolary...



W dowód wdzięczności: Tablica pamiątkowa na cześć króla angielskiego Edwarda VII, wmurowana kosztem gminy maryenbadzkiej.

A o to głównie chodzi mieszkańcom miasta Maryenbadu, aby zjeżdżało tutaj jak najwięcej kuracyuszów, którzy cierpią na „zatłuszczenie portmonetek“, na co oni posiadają znakomity i niezawodny środek.

Z tego właśnie powodu ś. p. król Edward VII. cieszył się ogromną sympatyą Maryenbadczyków,



Zaślubiny na serbskim dworze: Wielki książę Jan Konstantynowicz i księżnicka Helena Karageorgiewiczówna.

którzy wiedzieli, co mu mają do zawdzięczenia. Gdy go nie stało, poczuli dotkliwie jego brak i w dowód wdzięcznej pamięci kosztem miasta wmurowali pamiątkową tablicę z niemieckim napisem: *Ihrem Königlichen Gönner Eduard VII. die dankbare Kurstadt.*

Anglicy z jednej strony zadowoleni są tym dowodem uznania dla swego bądź co bądź genialnego władcy, który przez kilka lat kierował polityką światową, z drugiej jednak niemile ich dotyka niemiecki szowinizm, który kazał Maryenbadczykom umieścić napis tylko w języku niemieckim.

Pierwszy prezydent rzeczypospolitej portugalskiej.

Najmłodsza z europejskich rzeczypospolitych przystąpiła z końcem sierpnia do wyboru swego prezydenta. Na wynik oczekiwano z ogromnem naprężeniem, chodziło bowiem o to, czy zwycięży odłam radykalny partyi republikańskiej, czy też umiarkowany. Wybór padł na dra Manuela d'Arriaga, przedstawiciela umiarkowanych republikanów, który otrzymał 121 głosów na 217 głosujących, podczas gdy jego kontrkandydat, radykał Bernardino Machado, dotychczasowy minister spraw zagranicznych, pozostał w mniejszości, zdobywając tylko 86 głosów.

Prezydent zgromadzenia narodowego ogłosił wśród burzliwych oklasków wynik głosowania, prezydent Arriaga złożył zaś publiczne oświadczenie, że ma silną i nieugiętą wolę strzedz wiernie konstytucyi, dbać o dobro ogółu i bronić niezawisłości ojczyzny.

Strzały armatnie powiadomiły Lizbonę, a z nią cały kraj, że wybrano pierwszego prezydenta republiki. Arriaga złożył natychmiast przysięgę i w ponownej przemowie prosił, aby zapomniano o błędach przodków, by pogodziły się poważnione ze sobą stronnictwa i zabrały do wydatnej pracy dla dobra ojczyzny i umocnienia stanowiska nowego rządu.

Następnie udał się nowy prezydent do pałacu Belem, gdzie ministrowie i deputowani składali mu życzenia. Na przemowę prezydenta ministrów, który przedłożył mu dymisyę gabinetu, odpowiedział Arriaga podnosząc z uznaniem zasługi dotychczasowych kierowników portugalskiej polityki, zwłaszcza zaś prezydenta ministrów i prosił go, aby prowadził dalej sprawy państwowe aż do chwili ukonstytuowania się nowego gabinetu, co niebawem nastąpi.

Wybór Arriagi przyjęto entuzyastycznie. Miasto przystrojono odświętnie i illuminowano, tysiące ludności wyległo na ulice, wznosząc okrzyki na cześć nowego prezydenta. Podobne manifestacye odbyły się także i na prowincyi, a nigdzie nie zakłócono spokoju pomimo silnego ścierania się ze sobą obu odłamów partyi republikańskiej i wytężonej agitacyi monarchistycznej.

Dr. Manuel Arriaga, liczący obecnie siedmdziesiąt pięć lat wieku, był pierwotnie profesorem uniwersytetu w Coimbrze i pozostawał w stosunkach zażyłych z rodziną królewską, które jednak zerwał, nie mogąc z tem pogodzić swych republikańskich zapatrywań. Od czasu rewolucyi zajmował się adwokaturą, prowizoryczny rząd powierzył mu następnie stanowisko jeneralnego prokuratora przy najwyższym trybunale.

Jest to osobistość w całej Portugalii nadzwyczaj popularna, zwłaszcza od czasu jego gwałtownego wystąpienia przeciw znienawidzonemu dyktatorowi Joao Franco.

Według ustaw zasadniczych okres urzędowania prezydenta trwa lat cztery, ponowny wybór jest wykluczony. W czasie swej prezydentury będzie miał Arriaga do walczenia z niejedną trudnością, rząd młodej republiki nie jest jeszcze należycie skonsolidowany, a staje temu na przeszkodzie głównie rozłam wśród samej partyi republikańskiej i zachowanie monarchistów, którzy ciągle jeszcze łudzą się nadzieją, że uda im się przecież wprowadzić na tron wypędzonego króla Manuela.

W czasie wyboru Arriagi pełnił prowizorycznie funkcye prezydenta Teofil Braga.

Równocześnie z wyborem prezydenta wchodzi w życie i nowa konstytucya uchwalona przez Zgromadzenie narodowe, które także powzięło uchwałę o dyetach dla deputowanych i senatorów i uchwaliło pensyę dla prezydenta republiki.

Ponadto odbył się także wybór siedmdziesięciu jeden senatorów, którzy mają być wybrani z pomiędzy deputowanych, liczących więcej niż trzydzieści lat wieku. Mandat do senatu i Izby wygasa z końcem sesyi parlamentarnej.



Pierwszy prezydent rzeczypospolitej portugalskiej: Dr. Manuel d'Arriaga, dotychczasowy jeneralny prokurator najwyższego trybunału.

Pewną obawę w sferach rządowych wywołała kwestya uznania nowej republiki przez europejskie mocarstwa. Uznanie jej ze strony Francyi nadeszło właśnie w dniu wyboru prezydenta, inne są tylko kwestyą czasu.



Pierwszy prezydent rzeczypospolitej portugalskiej: Nowoobrany prezydent dr. Manuel d'Arriaga w czasie owacyi, zgotowanej mu przez ludność bezpośrednio po wyborze.

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

7

Powieść.

— Gdzie, po uregulowaniu rachunków, znajduje się pozostała suma?

— W kasie dyrektora. Rachunek z niej zapisany jest w naszych księgach.

Guillaume zamyślił się głęboko.

— Posiadacz znacznego kapitału ruchomego, opłacający tak drogo kuracyę, musiał być chyba człowiekiem bardzo bogatym.

Marceli ruchem rąk obu wskazał, że niema o tem pojęcia, następnie objaśnił słowami:

— Nic w tym względzie powiedzieć nie mogę, bo nic nie wiem, lecz doktor Jintot wiedzieć musi.

Guillaume poruszył się z miejsca.

— Chodźmy — rzekł — do pawilonu!

Komisarz, Julia i Marceli, posiłkując się znalezionymi kluczami, wyszli przez korytarz i drzwi, któremi zwykle tylko dyrektor wchodził i wychodził. Cały park zalewało złoto słonecznych promieni. Gromadka nasza złożona z trzech osób, przesuwając się cicho w cieniu drzew, rozbrzmiewających świegotem ptasząt, dotarła wreszcie do Pawilonu Bzów. Marceli otworzył drzwi kluczem, służącym do użytku personalu zakładu. Julia, blada, milcząca, mocno wzruszona, wstępowała powoli na schody. Na dywanie pokrywającym je, widne były jeszcze liczne krwawe plamy. Guillaume spojrzał na nią z politowaniem.

— Wszakże pani nie koniecznie potrzebuje nam towarzyszyć?

Lecz ona, budząc w sobie wysiłkiem woli odwagę, skinęła głową i szepnęła:

— Nie, nie! Pójdę... bo obecność moja, może się panu na coś przydać...

Jednakże, na pierwszem piętrze, słodkawa woń krwi sprawiła, że mimowoli w tył się nieco cofnęła i omal nie zemdlała. Guillaume podbiegł do okna i otworzył je szeroko.

— Swieże powietrze przyda się tutaj — rzekł z widocznym wstrętem.

Cały bezład, wywołany czynem zbrodniczym, panował tu dotąd wszechwładnie. Komisarz tym razem jednakże nie zajął się poprzewracanymi meblami, ani krwią, plamiącą pościel i kobierzec. Podszedł wprost do biurka i otworzył w niem szuflady, poddając wszystko, co się w nich znajdowało szczegółowej i dokładnej rewizyi, w tenże sam sposób zupełnie, w jaki przed chwilą badał przedmioty, należące do doktora Manescault. Lecz zrazu nic szczególnego nie zwróciło jego uwagi. Nic również za sługującego na uwagę nie znalazł w innych meblach, zapełniających ten pokój oraz przyległy gabinet do ubierania się i salon.

— Nie mamy szczęścia! — szepnął Marceli zniechęcony.

Guillaume uśmiechnął się ironicznie.

— Cierpliwości!... Nie ukończyliśmy jeszcze naszych badań. Nie wątpię, że przy spokojnem wytrwaniu w poszukiwaniach, znajdę to i owo, co będzie mogło nas zainteresować.

I z rutyną, opartą na długoletniem doświadczeniu, zaczął badać obicia na ścianach i wysłanie krzeseł, słowem wszystko, co mogło posłużyć za rodzaj nie łatwo odkryć się dającej skrytki. Macał również i materace w łóżku, tu jednak krępowany był koniecznością pozostawienia pościeli w pierwotnem położeniu, ze względu na zapowiedziane przyszłe poszukiwania sędziego śledczego. Machinalnie otworzył górną szufladę w stoliczku nocnym, któremu dotąd nie przyjrzał się dość pilnie.

Twarz jego rozjaśniła się widocznem zadowoleniem.

— Jeszcze to nie wiele — zawołał — lecz bądź co bądź mam już cośkolwiek!

Brat i siostra zbliżyli się do niego pospiesznie.

— Co to jest? — zapytali naraz oboje.

Guillaume pokazał im pieczątkę i laskę fioletowego laku, stopioną do połowy.

— Oto czem zapieczętowane były papiery, powierzone doktorowi.

— Czy w szufladzie niema nic więcej? — zapytał Marceli.

— Jest jeszcze mały kluczyk dziwnego kształtu i jakiś dziennik.

Julia zauważyła:

— Skradzione papiery mogły być zamknięte w staromodnej teczce, do której właśnie należy ten kluczyk.

Guillaume spojrzał na nią z widocznem zajęciem.

— Co panią na tę myśl naprowadza?

— Kształt kluczyka. Mam kluczyk niemal zupełnie do tego podobny, zamykający teczkę safianową, która niegdyś należała do mego pradziada.

Komisarz skinieniem głowy przytwierdził jej słowom.

— Bardzo być może, że tak jest, jak pani mówi. Teczka zaś prawdopodobnie zawinięta była w papier, owiązana szpagatem i opieczętowana.

To mówiąc, rozwinął dziennik znaleziony w stoliczku nocnym i zaczął go przeglądać z roztargnieniem. Widniała na nim data czerwcowa i zdawał się nie zawierać nic interesującego.

Jednakże cyfry, wypisane atramentem przy kursach giełdowych i na marginesie stronicy, obudziły ciekawość byłego ajenta.

— No! no! — mruknął.

— Co pan dostrzega? — zapytał Marceli.

Lecz Guillaume machnął ręką, jakby zniecierpliwiony zapytaniem.

— Proszę do mnie nie mówić! — rzekł po chwili. — Muszę się nad czemś zastanowić.

Następnie przeszedł do sąsiedniego salonu, ażeby całkiem się odosobnić, rozłożył dziennik na stole, usiadł przy nim i pogrążył się w rozwiązywaniu zawiłej zagadki, jaką zmarły po sobie pozostawił. W dziesięć minut później wrócił do pokoju, w którym Julii i Marcelemu dziesięciominutowe oczekiwanie wydawało się wiekiem. Fizyognomia jego promieniała nieukrywaną radością. Potrząsał żwawo trzymanym w ręku dziennikiem.

— Albo jestem zupełnym niedołęgą, albo już wiem, co zawierała teczka Emanuela Laborda! — zawołał niemal z gorączkowym zapałem.

Poczem, nie dając słuchaczom swoim czekać dłużej na wyjaśnienie tajemnicy, wskazał im cyfry, nakreślone na dzienniku.

— Zdaje mi się, że to przedstawia listę papierów wartościowych, które posiadał pan Laborda, a które zamknięte były w opieczętowanym pakiecie, skradzionym w nocy, w ciągu której popełniono zbrodnię. Proszę się przyjrzeć. Przed niektórymi znajduje się znaczek, okrążony kółkiem, następnie numer porządkowy i druga cyfra, która, jak przypuszczam, wyobraża ilość posiadanych akcyi tejże samej emisyi. Patrzcie państwo... Przed obligacyami kolei żelaznej Paryż Lugdun-Morze Sródziemne, jest numer pierwszy i cyfra dwadzieścia cztery. Przed akcyami kolei żelaznej północnej jest numer drugi i cyfra pięćdziesiąt dwa. Otóż przenieśmy teraz wzrok na marginesie na odwrotnej stronie dziennika, a znajdziemy seryę cyfr, poprzedzoną numerami porządkowymi. Przy numerze pierwszym jest liczba dwudziestu czterech cyfr, które są prawdopodobnie numerami każdej z dwudziestu czterech obligacyi kolei Paryż Lugdun-Morze Sródziemne. Przy numerze drugim znajdujemy pięćdziesiąt dwie cyfr, przedstawiających... jak sądzę... akcye kolei północnej. Wszystkie inne znaki i cyfry tłómaczą się w tenże sam sposób... Wnioskuję zatem, że mamy tu wykaz papierów publicznych, które posiadał pan Laborda. I w tej chwili, zwracam waszą uwagę, że suma ich wartości pieniężnej jest ogromną. Zrobiłem obliczenie w przybliżeniu, względnie do kursu wskazanego przez tenże sam dziennik... i doszedłem do oceny kapitału, posiadanego przez człowieka, który tu śmierć poniósł, na z górą dwa miliony...

Julia i Marceli krzyknęli ze zdziwieniem:

— Dwa miliony!... Ależ to chyba niemożliwe!

— Nadzwyczajne, lecz w mojem przekonaniu zupełnie prawdopodobne — rzekł Guillaume.

Marceli zrobił zarzut:

— Przyjmując nawet za pewnik domniemanie, że pan Laborda mógł posiadać tak olbrzymią fortunę, należałoby równocześnie przypuścić, że powinien był swe ogromne kapitały ulokować w jakimś banku, a nie u mego szwagra... zwłaszcza, nie zawiadamiając go o wysokiej wartości depozytu.

Guillaume potrząsnął głową.

— Nawet i w tym fakcie nie widzę nic nieprawdopodobnego, bacząc na towarzyszące mu okoliczności. Laborda był chory, neurastenik, prawdopodobnie trochę maniak, jeśli nie całkiem waryat. Do zakładu wszedł zaraz po swojem przybyciu do Francyi. Można więc mniemać, że powziąwszy zamiar udania się do Europy, uruchomił nagle cały swój majątek i nie miał czasu porozumieć się w Paryżu z ludźmi, trudniącymi się lokacyą wielkich kapitałów i w ogólności załatwianiem poważniejszych interesów. Nadto wiadomą jest rzeczą, że zdziecinniali starcy i osoby, podlegające choćby tylko małoznacznemu rozrzedzeniu mózgu, nie ufają nikomu i chętnie przechowują przy sobie wszystko, co posiadają. Ze względu jednak, że regulamin zakładu nie pozwalał mu zatrzymać wartościowych papierów we własnem pomieszkaniu, powierzył je dyrektorowi, o uczciwości którego nie mógł wątpić. Pomimo to, nie powiedział, co mieści cenny pakiet. Przedewszystkiem przez instyktową albo wrodzoną nieufność, a następnie, ponieważ wiedział, że doktor najniezawodniej nie zgodziłby się przyjąć i przechować tylu akcyi, opiewających na tak wysoką sumę, zwłaszcza, że o ile sądzę z pewnych znaczków, nakreślonych przy cyfrach, akcye te są, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wystawione na okaziciela.

Marceli, wobec tak subtelnie zestawionych wniosków, wyraził swój podziw wykrzyknikiem pełnym zachwytu.

— To co pan mówi, panie komisarzu, jest niezmiernie ściśle obmyślane! Jaka bystrość w łączeniu spostrzeżeń! Jaka zdolność analityczna! A wszystko to wywnioskowane na podstawie kilku zaledwie nikłych hieroglifów!

Guillaume mówił dalej spokojnie, jakby nie słyszał wyrazów, któremi Marceli wygłosił swoje uznanie dla jego przenikliwości.

— Ażeby odkryć mordercę, trzeba nam teraz wskazać osoby, które mogły wiedzieć, albo domyślić się, czem były w istocie w depozyt oddane dokumenty, oraz którym był znany wyjątkowy fakt, że dyrektor nie zamknął pakietu w kasie lecz w sekretarzyku. Poczem nic łatwiejszego, jak odtworzyć przebieg dramatu. Laborda został uduszony pierwszy; doktora, ściągniętego podstępnie do pawilonu, zasztyletowano w chwili, gdy się pochylił nad pacyentem, którego przedstawiono mu jako mocno cierpiącego. Następnie morderca, nie zapewniwszy się nawet, że dyrektor nie żyje, pobiegł do zakładu, żeby zabrać teczkę z papierami... Właśnie w tej chwili pani Manescault i pan Marsol zbliżyli się do szaletu. Doktor, odzyskawszy momentalnie sił nieco, chciał prawdopodobnie zejść do parku, lecz pośliznął się i stoczył po schodach aż na próg pawilonu, gdzie ducha wyzionął, zanim zdołał udzielić jakichkolwiek wyjaśnień...

Marceli każdemu słowu komisarza przytakiwał gestem.

— Niezawodnie! Tak! Wszystko musiało odbyć się w ten sposób! Lecz, chciej mi pan powiedzieć z łaski swojej, kto według pańskiego mniemania, mógł popełnić zbrodnię?

Guillaume odparł stanowczo i bez wahania:

— Tylko cztery osoby posądzić o to należy: dozorcę szaletu, Mikołaja Sempuis, doktora Jintot i pana.

Posłyszawszy te wyrazy Julia, zdjęta trwogą, jęknęła żałośnie, a Marceli zbladł jak chusta.

— Ja? — krzyknął przerażony.

Guillaume uśmiechnął się.

— Uspokój się młodzieńcze! Nie mówię że pana podejrzywam... Twierdzę tylko, że cztery osoby, do liczby których i pan należy, mogą być posądzone o spełnienie zbrodni, a to dlatego, że tym jedynie czterem osobom mógł Laborda zwierzyć się z posiadania znacznego kapitału, tudzież, że tylko owe cztery osoby miały możność posiąść klucze od drzwi, któremi wyłącznie sam tylko dyrektor wchodził i wychodził z zakładu.

— Ależ ja tych kluczy nie miałem! — krzyknął Marceli z naiwnym pośpiechem.

Były ajent prefektury paryskiej nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Wierzę... lecz nie ulega wątpliwości, że gdybyś je miał, nie przyznałbyś się do tego najmniejszej wodniej!

Wobec przyjaznego tonu, jakim słowa powyższe wypowiedział komisarz, uspokojony Marceli uśmiechnął się także.

— Ma pan słuszność zupełną!

Po chwili Guillaume przemówił znowu poważnie:

— Co zaś do dozorcy szaletu...

— Maurycego Berthaut?... Nie było go tu. Powrócił dopiero wczoraj wieczorem.

— Czy rzeczywiście był nieobecny?

— O, niezawodnie!... Pokażę panu list rodziny, upraszającej doktora o przyjęcie do zakładu jednego z jej członków. Do listu dołączone były świadectwa lekarzy. Proszono o przysłanie człowieka pewnego, któryby chorego zabrał z sobą. Jeden z krewnych miał mu towarzyszyć.

— Gdzie mieszkają ci państwo?

— W Orleanie... Misyę przywiezienia waryata spełnić miał Maurycy Berthaut. Wyjechał w tym celu w wilię dnia, w którym popełniono zbrodnię.

— Kto go wybrał i wysłał?

— Mój szwagier.

— Czy może pan zaręczyć, że nie uczynił tego pod wpływem rady, udzielonej mu przez jaką obcą osobę?... Bo chyba rozumiesz, że morderca pragnął musiał usunięcia stąd dozorcy szaletu.

— Na to odpowiedzieć panu nie mogę, bo nie

pozostawałem w ściślejszych stosunkach z moim szwagrem. Nie mówił ze mną nigdy o interesach zakładu. Muszę jednak zaznaczyć, że Berthaut był poniekąd wskazany...

— Dlaczego?

— Jako człowiek, zasługujący na zaufanie i doświadczony specyalista. Po Mikołaju Sempuis, którego ze względu na liczne jego zajęcia wysłać nie było można, Berthaut jest najstarszym dozorcą w zakładzie, najintelligentniejszym i najsilniejszym z pośród całego personalu służbowego, a przytem dzięki przyzwoitej powierzchowności, posiada najwłaściwsze warunki do reprezentowania zakładu na zewnątrz. Nieobecność jego nie miała wielkiego znaczenia, bo służba przy panu Laborda nie wymagała szczególnej pilności. Pacyenta z Pawilonu Bzów nie traktowano tu jak obłąkanego.

Guillaume zdawał się ważyć w myśli objaśnienia Marcelego.

— Wszystko to wydaje się pozornie słusznem — rzekł nareszcie. — Zatem, wyłączywszy z czwórki pana i tego człowieka, pozostaje nam Mikołaj Sempuis i doktor Jintot..

Marceli wybuchnął:

— Chciej, panie komisarzu, nie zapominać, że Sempuis służy w domu mego szwagra przeszło lat dwadzieścia siedm... Pracował tu już za życia ojca doktora. Dyrektor pokładał w nim najzupełniejsze zaufanie... Na życiu jego niema najmniejszej plamy. Ożeniony z młodą i uroczą kobietą, zadowolony jest ze swego losu, posiada bowiem oszczędzony kapitalik, od którego procent zapewni mu byt niezależny po opuszczeniu służby. Nic nie wskazuje, aby popełnił straszną zbrodnię, przygotowaną z cyniczną bezczelnością i dokonaną z niezwykłą energią, na którą człowiek taki jak Mikołaj, liczący lat sześćdziesiąt dwa, zdobyćby się nie zdołał.

Na twarzy Guillauma uwydatnił się wyraz wątpliwości.

— Och! wszystko, co pan powiedziałeś, niczego nie dowodzi. Fizycznie wygląda on na mężczyznę pełnego sił, zdolnego popełnić czyn podobny, nikt zaś nie jest w stanie stwierdzić, co dzieje się w mózgu człowieka, marzącego o zdobyciu tak olbrzymiej fortuny, jak fortuna pacyenta z Pawilonu Bzów, zwłaszcza, gdy tym człowiekiem jest skromny dozorca w domu waryatów.

Julia, słuchająca uważnie całej dyskusyi, dorzuciła do niej własne spostrzeżenie:

— Sempuis jest człowiekiem skrytym. Co myśli, nigdy odgadnąć nie można. Ubóstwia żonę, lecz jest o nią szalenie zazdrosny, a zachowuje się względem niej nieraz jak grubianin. Obecnie prowadzi się dobrze, lecz mąż mój mi mówił, że niegdyś, gdy był żołnierzem w armii kolonialnej w Tonkinie, popełnił podobno jakąś straszną awanturę...

Guillaume powiedział stanowczo:

— Koniec końców, nic w zasadzie nie zabrania posądzać Mikołaja Sempuis'a o popełnienie zbrodni.

Marceli odparł z uniesieniem:

— Nie, nie! Nigdy nie uwierzę, aby ten człowiek dopuścił się tak ohydnego czynu! Jeszcze, gdyby go tylko oskarżano o zabicie cudzoziemca, możebym się zawahał... lecz żeby podle zamordował doktora Manescault, swego pana i przyjaciela, tego żadnym sposobem przypuścić nie mogę!

Guillaume uśmiechał się, słuchając gorąco przez młodzieńca wygłoszonej obrony.

— Proszę pani, żaden z nas, należących do mojego zawodu nie liczy się z wdzięcznością i innemi szlachetnemi ludzkiemi uczuciami, bo gdybyśmy je brali w rachubę, bylibyśmy narażeni na tysiączne zawody. Zresztą, ileż to razy tajona nienawiść, z powodu nieznanych ogółowi faktów, kryje się pod pozorami przyjaźni i życzliwości! Na przykład: Sempuis ma ładną żonę i jest podobno o nią wściekle zazdrosny. Czemużby zatem nie mógł żywić zawiści do pana doktora? Czy jesteś pan zupełnie pewny, że dyrektor nie dał powodu do obudzenia zazdrości w sercu swego podwładnego?

Marceli zaprzeczył stanowczo.

— O! to nie! Szwagier mój miał wady, nawet wielkie, lecz miłość, a raczej do ostatecznych granic posunięta namiętność, jaką gorzał dla mojej siostry, wyłącza wszelkie przypuszczenia, aby mógł i chciał ubiegać się o względy Ludwiki.

Komisarz milczał czas jakiś.

Po chwili jednak zaczął mówić znowu:

— Zbadajmy teraz okoliczności, odnoszące się do doktora Jintot...

Lecz właśnie, gdy Marceli zamierzał wystąpić gwałtownie przeciw lekarzowi asystentowi zakładu, dał się słyszeć głos jednego ze służących:

— Panowie sędziowie przyjechali i wzywają panią i pana Robertina.

Julia, posłyszawszy wezwanie, zatrzęsła się cała, przejęta obezwładniającą ją trwogą, lecz Guillaume z ojcowską niemal dobrocią uspokajał młodą kobietę, starając się wzbudzić w jej sercu odwagę:

— Niechże się pani nie lęka! Po odkryciach, jakich dokonaliśmy dzisiaj, przysiądz mogę, że nic nie grozi ani pani, ani jej bratu, ani panu Marsol.

— Wszakże — zauważył Marceli — sędzia śledczy nie jest powiadomiony o dzisiejszych pańskich poszukiwaniach?



— Ależ! Ja tych kluczy nie miałem! — krzyknął Marceli.

— Niezawodnie! Jednakże, nie przyznając się do roli jaką tu odegrałem, zawiadomię pana Deverrier jak najspieszniej o wszystkiem, co będzie mogło mu posłużyć do skierowania śledztwa na właściwą drogę. Możecie państwo liczyć na to bezwzględnie. Obecnie, gdy was badać będzie, starajcie się mówić jak najmniej, a przedewszystkiem nie okazujcie pomieszania i obawy... Teraz zaś, zejdźmy do parku razem. Jestem tak dobrze przebrany i ucharakteryzowany, że mogę śmiało przesunąć się niepoznany przed oczami wszystkich sędziów, jakich Paryż posiada w swoich murach. Nie ukrywajcie państwo przed nim wcale, że wezwaliście na pomoc detektywa, który podjął się odszukać prawdziwego mordercę. Jest to prawo przysługujące wam w całej pełni.

Guillaume w rzeczy samej pożegnał się ze „swymi klientami" ostentacyjnie, w pośrodku głównego podwórca domu waryatów.

ROZDZIAŁ VI.

Sensacyjna indagacya.

Działo się to we środę, w tydzień po podwójnej zbrodni, spełnionej w Villeneuve, w domu obłąkanych. Gwałtowna burza znacznie oziębiła powietrze. Od dwóch dni czarne chmurzyska pokrywały niebo nad Paryżem, z których od czasu do czasu lał deszcz rzęsisty, przejmujący nieznośnym chłodem. Chociaż to był miesiąc lipiec, brzydka i przykra pogoda, czyniła go podobnym raczej do listopada.

Doktor Jintot, smagany wiatrem i ulewą, kroczył żwawo po bulwarze. Doszedłszy do Pałacu Sprawiedliwości, wpadł do wiodącego doń wejścia z prawej strony i klnąc niemiłosiernie, ale po cichu, zamknął parasol, z którego woda spływała ciurkiem. Poczem, oryentując się naprzód sam, następnie prosząc o informacye spotkanych woźnych, podążał do biura sędziego śledczego, do którego wezwany został na popołudnie.

Na końcu długiego korytarza wszedł na schody, aby nimi dostać się na trzecie piętro. Tam posługacz biurowy zawiadomił go, że znajduje się właśnie u celu swojej wędrówki.

— Chciej tu zaczekać... Przywołany pan będzie wkrótce.

W ciemnym przedpokoju jakiś człowiek powstał z ławki i ukłonił się doktorowi.

Ten, z powodu panującego tu przez chwilę zmroku, naprzód zmrużył, potem przetarł oczy, nie mógł bowiem odrazu poznać osoby, witającej go ukłonem.

— To wy, Berthaut?... Czy jesteście wezwani także?

— Tak, panie doktorze — odparł dozorca.

Dwuznaczny ton, z jakim te wyrazy wymówione zostały, sprawił, że Jintot cofnął się nieco w tył, uczuł w nich bowiem jakąś nieokreśloną, ukrywaną niechęć i nieprzychylność.

— No! no! — pomyślał i połknął życzliwe słowa, któremi chciał pozdrowić dozorcę. Poczem, jakby wstrząśnięty febrycznie, zaczął się przechadzać z jednego końca przedpokoju w drugi.

Tymczasem Maurycy Berthaut usiadł znowu na ławce, wydobył z kieszeni dziennik, rozwinął go i zaczął czytać spokojnie. Był to człowiek średniego wzrostu, lecz ze względu na rozrosłe, szerokie i barczyste ramiona wydawał się niższy, niż był w istocie. Ubrany czarno, miał na głowie uniformowy kaszkiet zakładu. Okrągła jego i czerwona twarz, przyciemniona słońcem i czterdziestką, ogolona była starannie. Krótko ostrzyżone czarne i jak szczecina twarde włosy, jeżyły mu się na czaszce niby szczotka. Mógł śmiało uchodzić za przecięty typ południowca. Istotnie urodził się w Marsylii.

Po niejakimś czasie zawołano:

— Pan doktor Jintot!

Doktor drgnął i zbliżył się do drzwi.

— Jestem.

— Proszę wejść, jeśli łaska. Pan sędzia śledczy czeka na pana.

Wtedy dopiero Jintot dostrzegł, że ławki w przedpokoju zapełnione były licznemi postaciami o twarzach i czołach zmarszczonych, albo na których malował się wyraz mazgajowato-płaczliwy lub butny i zaczepny. Byli to ludzie, oczekujący na kolejne wezwanie do pana Deverrier, albo do drugiego sędziego śledczego, zasiadającego w sąsiedniem biurze, położonem w końcu korytarza. Gwardzista municypalny, z rękami w tył założonemi, stał przy oknie i patrzał na deszcz gęstemi strugami zalewający ulicę.

Wrażenie jakiejś dziwnej niemocy i frasunku, jak całun spadło na barki doktora.

Gabinet sędziego zdawał się przytłoczony nisko nad nim opuszczającym się sufitem. Był ciemny, zapełniony stołami, krzesłami i półkami, ze spoczywającymi na nich aktami.

Przy ogromnem biurku siedzieli naprzeciw siebie: pisarz sądowy, człowiek otyły, o wybladłej twarzy, oczach przygasłych, bez blasku — i znany nam Deverrier, kręcący się na fotelu nieustannie, ciągle poruszający leżące na biurku przedmioty i szeleszczący papierami, wyciąganymi z aktów.

Rzucił bystre spojrzenie na wchodzącego Jintota.

— A, doktor!... Proszę siadać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kto ma słuszność?

Walka pomiędzy prusofilskiemi czasopismami w zaborze niemieckim a prasą prawdziwie narodową, znalazła obecnie głośny odzew i na szpaltach pism galicyjskich.

Dzienniki zajmują się obecnie osobą współpracownika *Pruskiego przyjaciela*, który pod pseudonimem Jakób Racheliis Labanow, zamieszczał na jego łamach korespondencye i wedle słów *Mazura* „wytężał wszystkie siły swoje, aby ruch polski zohydzić i pracę narodową *Mazura* uniemożliwić".

Ma to być Michał Kapuściński, mieszkający w przysiółku Wróblowice pod Swoszowicami, powyżej fortu rajskiego, gdzie osiadł przed kilku laty ożeniwszy się z córką tamtejszego włościanina.

W szeregu rozmaitych ciężkich zarzutów, jakie *Mazur* (wychodzący w Szczytnie) pismo z obrazkami, poświęcone Mazurom wyznania ewangielickiego, poczynił Kapuścińskiemu, najcięższym jest, iż uprawiał dwulicową politykę, pisując już za czasów Bahrkego do *Gazety ludowej* a równocześnie do *Polskiego przyjaciela famulu*, który tak, jak *Pruski przyjaciel* usiłował zniemczyć Mazurów. Redakcya *Mazura* utrzymuje nadto, że Kapuściński starał się koniecznie zbliżyć do niej, a równocześnie zamieszczał w hakatystycznym *Pruskim przyjacielu* zjadliwe napaści na polskość i bił czołem przed „wspaniałą i szlachecką" kulturą pruską.

Po pojawieniu się w pismach polskich wzmianki o tej zgubnej działalności Jakóba Racheliusa Labanowa *recte* Michała Kapuścińskiego z Wróblowic pod Swoszowicami, nadesłał nam tenże list, w którym odpiera poczynione sobie zarzuty i twierdzi, że nie jest wcale szpiegiem pruskim, gdyż i to mu zarzucano, a cała złość pochodzi stąd, że odezwę o składkę na kresy mazurskie i list zapraszający na korespondenta *Gońca wielkopolskiego* pozostawił bez odpowiedzi.

Jest to sprawa nad wyraz nieprzyjemna, poruszyliśmy ją jedynie z obowiązku dziennikarskiego, zamieszczając także i oświadczenie pana Kapuścińskiego w imię zasady *audiatur et altera pars*.

Kto miał słuszność, przyszłość wykaże.



Kto ma słuszność?: Michał Kapuściński z Mogiłek pod Rajską Górą, wraz z żoną.

Strejk introligatorów we Lwowie.

We Lwowie trwał do niedawna strejk czeladzi i robotników, zajętych w zawodzie introligatorskim. Powodem wybuchu jak zwykle drożyzna i chęć wywalczenia sobie znośniejszych warunków bytu. Ponieważ jednak właśnie w samym początku roku szkolnego introligatorzy mają najwięcej do czynienia i bez pomocy czeladzi absolutnie obejść się nie mogą, Izba rękodzielnicza podjęła inicyatywę, czyby przypadkiem nie dało się doprowadzić do porozumienia pomiędzy obu zwaśnionemi stronami, zwłaszcza, że i jedna i druga gotową była do pewnych ustępstw.

W tym celu odbyło się kilka zgromadzeń, na których reprezentanci majstrów przedstawiali sprawę ze swojego punktu widzenia, robotnicy zaś ze swojego i w żaden sposób nie można było dojść do zgody. Apelowano przytem do obecnego na jednem ze zgromadzeń posła Sliwińskiego, by parlament postarał się o usunięcie drożyzny, to jednak nie zda się na wiele, posłowie bowiem sprawy tej nie lubią nawet poruszać.

Robotnicy introligatorscy przedłożyli majstrom memoryał, przedstawiający ich żądania, równocześnie komisya cennikowa zawiadomiła, że prosi o rozpoczęcie pertraktacyi, jeśliby zaś one nie doprowadziły do pomyślnego skutku za czternaście dni robotnicy zaprzestaną pracę. Majstrowie do ostatniej chwili nie odezwali się ani słowem, dopiero, gdy nóż był już na gardle, rozpoczęli starania, aby przecież się porozumieć.

Robotnikom chodziło głównie o oznaczenie minimalnych płac dla poszczególnych kategoryi robotników i robotnic, zależnie od tego jak długo w zawodzie pracują. Majstrowie na kategorye stanowczo zgodzić się nie chcieli.

Ostatecznie po nieudałej próbie złamania solidarności robotniczej przyszli majstrowie do przekonania, że żądania robotników nie były zbyt wygórowane, zgodzono się też na pewne ustępstwa i zażegnano strejk, który dla obydwu stron byłby bardzo niekorzystnym.



Strejk introligatorów we Lwowie: Grupa strejkujących robotników zajętych w przemyśle introligatorskim.

Kronika tygodniowa.

No, troszkę się świat ożywia. Przeminął już wprawdzie olbrzymi strajk angielski, ale zaimponował swą potęgą i długo o nim jeszcze mówić będą. Bo to nie było takie strajczątko, jak bywają nasze, ale rzecz na ogromne rozmiary. Nas, c. k. Galicyan, przebieg tego strajku przejął słuszną dumą, bo nikt chyba nie zaprzeczy, że rząd angielski wobec naszego trzykawkowego okazał się nadzwyczaj niedołężny. Poprostu skompromitował powagę władzy, urok jej sprowadził *ad minimum*. Jak to zaraz znać, że na czele rządu angielskiego nie stoi, jak u nas, historyk, mąż stanu, hołdujący zasadzie silnej ręki. Taka np. silna ręka, jaka kierowała ostatnimi wyborami, może się nie podobać jakimś tam wschodnim zacofanym Galicyanom, ale my, bliżsi Zachodu i cywilizacyi, nad starymi przesądami czystości wyborów dawno już przeszliśmy do porządku. I tylko dziwić się musimy, że ludzie tak dobrej krwi, jak różni Dzieduszyccy, Starzyńscy, Czarkowscy Golejewscy, Stadniccy, Korytowscy, rymanowscy Potoccy i t. d. łączą się z warchołami, ba! że do nich przystał ks. biskup Wałęga, który powiedział na zjeździe katolickim, że na czas wyborów zawieszono konstytucyę i zatruwano duszę ludu.

Kompromitacya rządu angielskiego tkwi już w tem, że istniał parę tygodni. Cóż dopiero jeżeli zważywszy, że liczba strajkujących wynosiła pół miliona, że ustał zupełnie ruch na wielu kolejach, że siłą nie dopuszczono dowozu żywności, że ekscesy dochodziły do demolowania domów, niszczenia ratuszy, podpalania, czynnego oporu władzy. Wszak samych ranionych policyantów było kilkuset, a potłuczonych nikt by nie zliczył. Można powiedzieć, że to była rewolucya, na wielką skalę wojna domowa. A mimo to (wstyd mię za Anglię) pomocy wojska używano raczej dla ochrony spokojnych mieszkańców, a nie dla stłumienia buntu. Kawalerya oczyszczała place i ulice bez wystrzału, a piechota torowała sobie drogę kolbami lub ślepymi nabojami. Zaledwie w trzech wypadkach (o większej liczbie dzienniki nie donosiły), kiedy olbrzymie groźne tłumy dopuszczały się nietylko dzieła zniszczenia, ale zaatakowały wojsko, zaledwie w trzech wypadkach, strzelano ostremi nabojami. I rezultatem tych strzałów było zaledwie 16 trupów, choć 50.000 wojska wystąpiło do „boju". A u nas w Drohobyczu... Nie, rząd angielski nie dorosł do powierzonej mu misyi. Bo jakże drobną była awantura drohobycka, wobec ogromu i przebiegu strajku angielskiego — a jak energicznie ją stłumiono. O ileż więc w Galicyi bezpieczniejsi czujemy się pod opieką prawa, niż biedni Anglicy. Rumień się więc Anglio i przysyłaj do nas tych, co chcą być mężami stanu, przedstawicielami władzy, energicznymi opiekunami ładu i porządku.

Ale i we Francyi nie lepiej. Stłumiono wprawdzie przed kilku miesiącami rozruchy „szampańskie", ale więcej poczyniono ustępstw, niż okazano energii. A teraz znowu nastąpił cały szereg groźnych awantur na tle drożyzny — i jakoś nic (przynajmniej do chwili, kiedy piszę) nie słychać o większych zarządzeniach dla utrzymania uroku władzy. Tym razem możemy być dumni podwójnie: naprzód, że u nas takie wybryki energicznie by stłumiono, a powtóre, że my sami do takich wybryków nie jesteśmy zdolni, że posiadamy cnotę cierpliwości w najlepszym gatunku. Bo przecież Francuzi są 10 razy od nas bogatsi, więc im drożyzna nie daje się, tak jak nam, we znaki. Prócz tego ich drożyzna nazywałaby się u nas tanizną — wszelkie płody ziemi są u nich tańsze, a mięsem zbyt się nie objadają. Wartoby ich sprowadzić do Zakopanego -- niechby tam dowiedzieli się co trzeba płacić za warzywa, jarzyny i owoce, które u nich są za bezcen. Niechby im w Poroninie zaśpiewano, jak niepodpisanemu, 37 centów za funt jabłek, t. j. za trzy jabłka średniej wielkości. Niechby za funcik rybki kazano im wydobyć z „nos[illegible]" 2 korony, kiedy oni za tę cenę trzy funty dostaną. Wtedy by się przekonali, co to jest drożyzna — i zarazem nabraliby o nas wyobrażenia jako o Krezusach, a przynajmniej nababach indyjskich. A oni się jeszcze skarżą, karygodne demonstracye urządzają, ład i porządek publiczny naruszają, ba! nawet napadają sklepy rozbójników — chciałem powiedzieć: zacnych dostarczycieli żywności — i pięściami na ich karkach słowa protestu wypisują. My zaś poprzestajemy na tem, że wybieramy w radzie miejskiej komisyę drożyźnianą, która wspólnie z magistratem dwa albo trzy razy na rok „konstatuje" wzrastającą drożyznę i uchwala, że koniecznie by trzeba jej zaradzić, tylko niewiadomo jak. I choćby u nas funt mięsa podskoczył na guldena (dziś już kosztuje koronę), to żaden z nas nie podskoczy z argumentem pięściowym ku rabusiom — cierpliwość nasza nigdy się nie wyczerpie. I dobrze jest, jak jest. Bo cnota cierpliwości, ubóstwo i niedostateczne odżywianie się, przybliżają ku nam bramy nieba. A w niebie tem nie będzie ani rzeźników, ani piekarzy, ani agraryuszów, ani urzędników podatkowych, ani posłów uchwalających budowę dreadnaughtów, ani kierowników polityki miejskiej, sprzyjającej drożyźnie, a nawet ją wywołującej. Tylko jest jedna obawa: czy do nieba dopuszczą i głupich, bo gdyby im wstęp był wzbroniony, to nasza cierpliwa wobec drożyzny P. T. Publiczność musiałaby obozować pod bramami raju, nie mając nawet nadziei dostania się do jego wnętrza.

We Francyi obok drożyźnianej jest jeszcze druga awantura: skradziono z Luwru słynną Giocondę Leonarda da Vinci. Dziennikarze całego świata mają już napisane podobno podanie do rządu francuskiego, aby nie karał złodzieja, gdyby się udało go złapać, dzięki mu bowiem w czasie posuchy dziennikarskiej można było zapełnić jako tako dzienniki traktatami o Giocondzie, ubolewaniami nad jej zniknięciem i domysłami jak dokonano jej przywłaszczenia. Gratka nie lada i nie zaniedbano jej wyzyskać. Oczywiście nie uniknięto przesady: Kradzież Giocondy postawiono na równi z nieszczęściami ludzkości. Bezsprzecznie obraz ten jest znakomitem dziełem jednego z najgenialniejszych nie tylko malarzy, ale ludzi — jednakże po pierwsze dla świata jeszcze nie zginął, bo wątpić należy, aby go ktoś ukradł w celu zniszczenia, a zginął tylko dla Luwru, powtóre gdyby nawet przepadł, byłaby to strata wprawdzie wielka, ale jeszcze nie taka, aby po niej nie warto już żyć na świecie. A tak się wydaje, kiedy się czyta artykuły zwaryowanych entuzyastów. Jeden z nich woła: kradnijcie sobie, panowie złodzieje, co chcecie, nawet prowincye i kraje, ale nie tykajcie takich świętości jak Gioconda. Ten sam, czy inny entuzyasta nie rozumie jak złodziej może wytrzymać spojrzenie oczu patrzących na niego z obrazu Mony Lizy. Inny cały poemat prawie pisze o jej uśmiechu, nad którym wielki artysta miał całe lata pracować, aż wydobył cós, od czego nic doskonalszego nie znajdziesz na świecie. Są to wolne żarty. Portret Mony Lizy jest wspaniałe pięknem dziełem sztuki, ale sama Mona Liza nie była żadnem wspaniałe pięknem dziełem natury. Była sobie ot niewiastą przystojną, ale nic więcej. Oczy miała ładne, ale ja widziałem wiele ładniejszych, uśmiechała się mile, ale z milszym, piękniejszym uśmiechem zwykły, umiejący patrzeć śmiertelnik spotykać się może jeżeli nie codzień, to przynajmniej raz na miesiąc. Staję tu w obronie żyjącej za dni naszych płci pięknej, którą niesłusznie krzywdzą narwani entuzyaści. Muszą to być „zielone małpy", kiedy na nich nie spoczęły nigdy oczy piękniejsze od oczu Mony Lizy i kiedy piękniejszym niż ona uśmiechem nie darzyły ich nasze panie czy panny, separatki czy wdówki.

Ale pomijam dalsze rozpatrywanie sprawy uśmiechów, bo obawiam się, aby mnie nie wzięto za jednego z tych kronikarzy, co na szpaltach pism flirtują z płcią piękną. Zresztą „Giocoda" została już pomszczona — udzielono dymisyi dyrektorowi Luwru i na miejsce jego powołano p. Pajaleta, który (słowa telegramów) nie odznaczył się pracami naukowemi, lecz energią i zdolnościami administracyjnemi. Widocznie (znowu możemy być dumni!) przyjmuje się we Francyi system galicyjski: stanowiska wymagające wiedzy, fachowości, powierza się ludziom... energicznym. Wiceprezydentem Rady szkolnej zostaje u nas prawie z reguły nie pedagog, lecz energiczny urzędnik administracyjny; natomiast pedagogów na gwałt przerabiamy na posłów, aby zamiast dobrych dyrektorów i profesorów gimnazyalnych, mieć marnych polityków. Dyrektorami teatrów zostają u nas nie komedyopisarze lub wybitni krytycy, jak to bywa gdzieindziej, ale ludzie „bez zajęcia", urzędnicy kolejowi, dentyści. Dyrektorami banków mianujemy przeważnie starostów, profesorów, lekarzy, b. aktorów, b. kleryków, gołych hrabiów, zbankrutowanych obywateli. W pewnej komisyi artystycznej zasiada weterynarz i szynkarz. W ten sposób wyrabia się niesłychana wszechstronność.

Wogóle możemy być dumni i z wielu innych powodów. Oto już w tym tygodniu rozpoczyna się proces Ronikiera, a za parę miesięcy obiecują nam sprawę Macocha. Będą to nielada „sensacye", których echo odbije się w Europie. Niestety Macocha mają pono sądzić przy drzwiach zamkniętych. Ale za to jak pączek w maśle będziemy pływać w sprawie Ronikiera. Zamówili już sobie miejsca przy stole dziennikarskim specyalni korespondenci 10 dzienników rosyjskich, *Vossische Zeitung*, *Daily Mail* i t. d.; pani Backerville ma obsługiwać pisma amerykańskie. Oczywiście dziennikarze-rodacy bohatera nie dadzą się wyprzedzić zagranicy. Już dziś całe kolumny dzienników galicyjskich zajęte są tekstem oskarżenia w streszczeniu lub w całości. Bądźmy spokojni, że z przebiegu rozprawy żaden szczegół nas nie minie, że do startu w wyścigach o zadowolenie P. T. publiczności (nagroda honorowa dam) staną dziennikarskie dwuroczniaki i stare, siwe wałachy ze wszystkich obozów zarówno najpostępowszego, jak najkonserwatywniejszego, tak bezwyznaniowego jak najkatoliciejszego (niech uformowanie tego stopnia najwyższego nie razi gramatyków, bo obecnie największą ozdobą stylu jest brak gramatyki). A wszystko to czynić się będzie *ad majorem Poloniae gloriam*.

To też i kronikarz *Nowości*, aby być bliżej Ronikieriady, opuścił Zakopane, pomimo, że ono w tej chwili jest najpiękniejsze i najmożliwsze do wytrzymania. Jak bowiem wiadomo, mieszkańcy tej „letniej stolicy" podczas lata składają się przeważnie z bandytów i bandytek. Dwa są ich rodzaje: jeden powierzchowny, drugi rzeczywisty. Powierzchowny składa się wyłącznie z młodych przybyszów: „brody ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia plugawa"; bandytki chodzą z worami na plecach, z włosami uciętemi, w krótkich sukniach, wykręconych trzewikach, z dziurami w czarnych pończochach; obie płci noszą ciupagi i puszczają się w góry na miłosne rozboje. W gruncie rzeczy jestto naród nieszkodliwy, tylko zbyt hałaśliwy. Rzeczywiści zaś bandyci stanowią ludność miejscową, zarówno góralską, jak osiadłą tu dla interesu. Ten drugi rodzaj bandytów obdziera bez sumienia wszystkich „gości", zostawiając im tylko życie i kilkanaście koron na drogę powrotną.

Otóż we wrześniu pierwsi, powierzchowni bandyci, znikają — robi się spokojniej i przestronо. Drudzy zaś, rzeczywiści bandyci, nasyciwszy swą żądzę łupów, stają się grzeczniejsi. Co więcej: nie jeżdżą już po Zakopanem samochody, niema tego kurzu co w głównym sezonie, ceny mieszkań i utrzymanie spadają, nie plątają ci się pod nogami stada „bębnów", nie napadają cię damy z puszkami, nie najeżdżają cię wózki góralskie. A że i pogoda wrześniowa jest przepiękna, więc też Zakopane w tym czasie staje się wcale znośnem miejscem pobytu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stałemu Prenumeratorowi w Sągajliszkach: W Austryi istnieją dwa rodzaje szkół wojskowych, szkoły kadeckie, do których uczęszcza młodzież po ukończeniu czwartej klasy gimnazyalnej lub realnej i akademia wojskowa do której przyjmują maturzystów szkół średnich. Aby być przyjętym do szkoły kadeckiej lub akademii, musi się być poddanym austryackim. W Galicyi są dwie szkoły kadeckie (Łobzów pod Krakowem i Lwów), akademia znajduje się w Wiener-Neustadt pod Wiedniem.

Proces hrabiego-mordercy.

Przed kratkami warszawskiego sądu okręgowego rozpczął się w dniu 5. b. m. proces znanego w szerokich sferach towarzyskich i literackich Warszawy Bogdana hr. Ronikiera, oskarżonego o zamordowanie 16 letniego szwagra swego Stanisława Chrzanowskiego, ucznia jednego z prywatnych zakładów naukowych w Warszawie.

Zarówno nazwisko oskarżonego jak i okoliczności oraz pobudki towarzyszące zbrodniczemu czynowi sprawiły, że zabójstwo dokonane wśród tajemniczych i niewyjaśnionych okoliczności w sposób prawdziwie zwierzęcy, wywołało odruch niepamiętnego oburzenia w najszerszych sferach społeczeństwa.

Okoliczności towarzyszące zbrodni są następujące. W dniu 12. maja 1910 r. w pokojach umeblowanych przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie utrzymywanych przez niejakiego Feliksa Zawadzkiego, znaleziony został trup 16 letniego chłopca, jak się później okazało Stanisława Chrzanowskiego, syna zamożnego ziemianina z gubernii Lubelskiej. Bliższe oględziny zwłok wykazały, że młodzieniec



Proces hrabiego-mordercy: Adwokat przysięgły Wacław Makowski, obrońca hr. Ronikiera.

padł ofiarą bestyalskiego morderstwa. Czaszka jego była pęknięta od uderzeń tępem narzędziem. Liczne ślady krwi na ścianach pokoju, sofie i dywaniku nad kanapą, świadczyły o rozpaczliwem zmaganiu się ze swą ofiarą mordercy.

W kilka dni później w wydziale śledczym policyi pojawił się szwagier zamordowanego Bogdan hr. Ronikier, celem zaprotestowania przeciw uwłaczającym czci jego pogłoskom, obiegającym w mieście, jakoby on był wmieszany w sprawę tajemniczego zgonu Stanisława Chrzanowskiego.

Opinia publiczna jednak opierając się na przeszłości hr. Ronikiera, tak jednomyślnie zwracała oskarżenie o współudział w dokonanym morderstwie przeciw hr. Ronikierowi, z drugiej strony zaś zachowanie się jego w policyi było tak dziwnem i niejasnem i od pierwszej chwili tyle wykazywać zaczęło sprzeczności, że sędzia śledczy tegoż dnia zarządził zatrzymanie hr. Ronikiera w więzieniu pod zarzutem dokonania morderstwa.

Hr. Ronikier w pierwszej chwili bardzo stano



Proces hrabiego-mordercy: Bohdan hr. Ronikier.

wczo wypierał się zarzuconej mu zbrodni. Odpierał przedewszystkiem zarzut, jakoby zbrodnia popełniona być mogła w celach odziedziczenia spadku po zamordowanym i wykazał swoje alibi.

Energiczne śledztwo wykrywać jednak poczęło coraz więcej sprzeczności w zeznaniach oskarżonego. Stwierdzono zeznaniami świadków, że tym, kto wynajął ów pokój w hotelu Zawadzkiego był hr. Ronikier. Stwierdzono, że on swym kosztem pokój ten umeblował, że w nim od czasu do czasu przebywał. Koledzy ś. p. Chrzanowskiego zeznali, że w dniu morderstwa ś. p. Chrzanowskiego oskarżony hr. Ronikier przybył doń do szkoły i razem z nim wyszedł z zakładu.

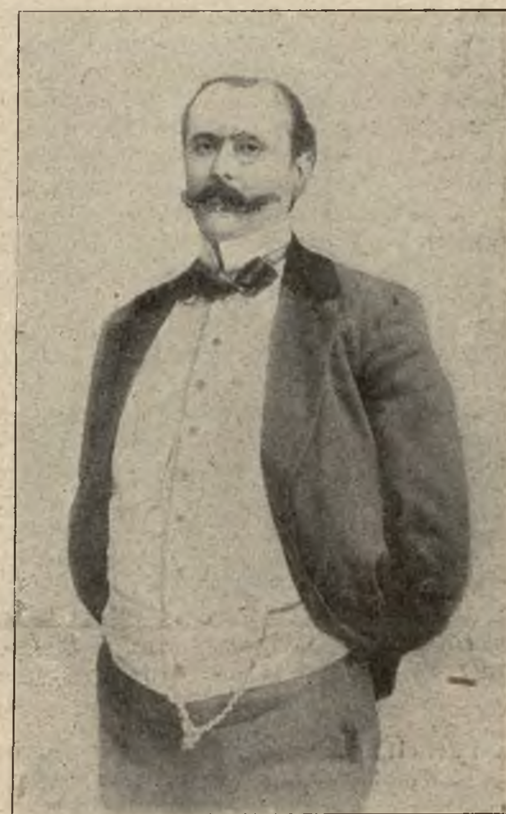
Wszystkim tym zeznaniom przeczy hr. Ronikier usiłując wykazać swoje alibi. Twierdzi mianowicie, że w dniach od 9 do 12 maja 1910 roku mieszkał w hotelu Polskim w Lublinie. Wszelako zeznania służby hotelowej stwierdzają, że chociaż hr. Ronikier właśnie w tym czasie był w hotelu tym zameldowany, jednak nie nocował ani razu i wogóle nie był widziany przez nikogo. Natomiast zeznaniani kilkunastu świadków stwierdzają, że hr. Ronikier był w tym czasie w Warszawie, że go w kilku miejscach widziano, pomimo, że widocznie starał się ukryć przed oczyma znajomych.

Wszystkie te okoliczności składają się na dowód, że hr. Bogdan Ronikier, był tym, który morderstwo popełnił. Pobudką czynu była chęć odziedziczenia schedy po szwagrze, któremu ojciec znaczniejszy dział majątku wydzielił.

W celu odwrócenia od swej osoby podejrzeń, hr. Ronikier, usiłował skonstruować sztucznie dowód alibi, ale dowód ten zupełnie go zawiódł.

Również zeznaniami świadków stwierdzono, że właściciel pokojów umeblowanych Zawadzki i numerowy hotelu Siemiński byli pomocni Ronikierowi w z-mazaniu śladów zbrodni.

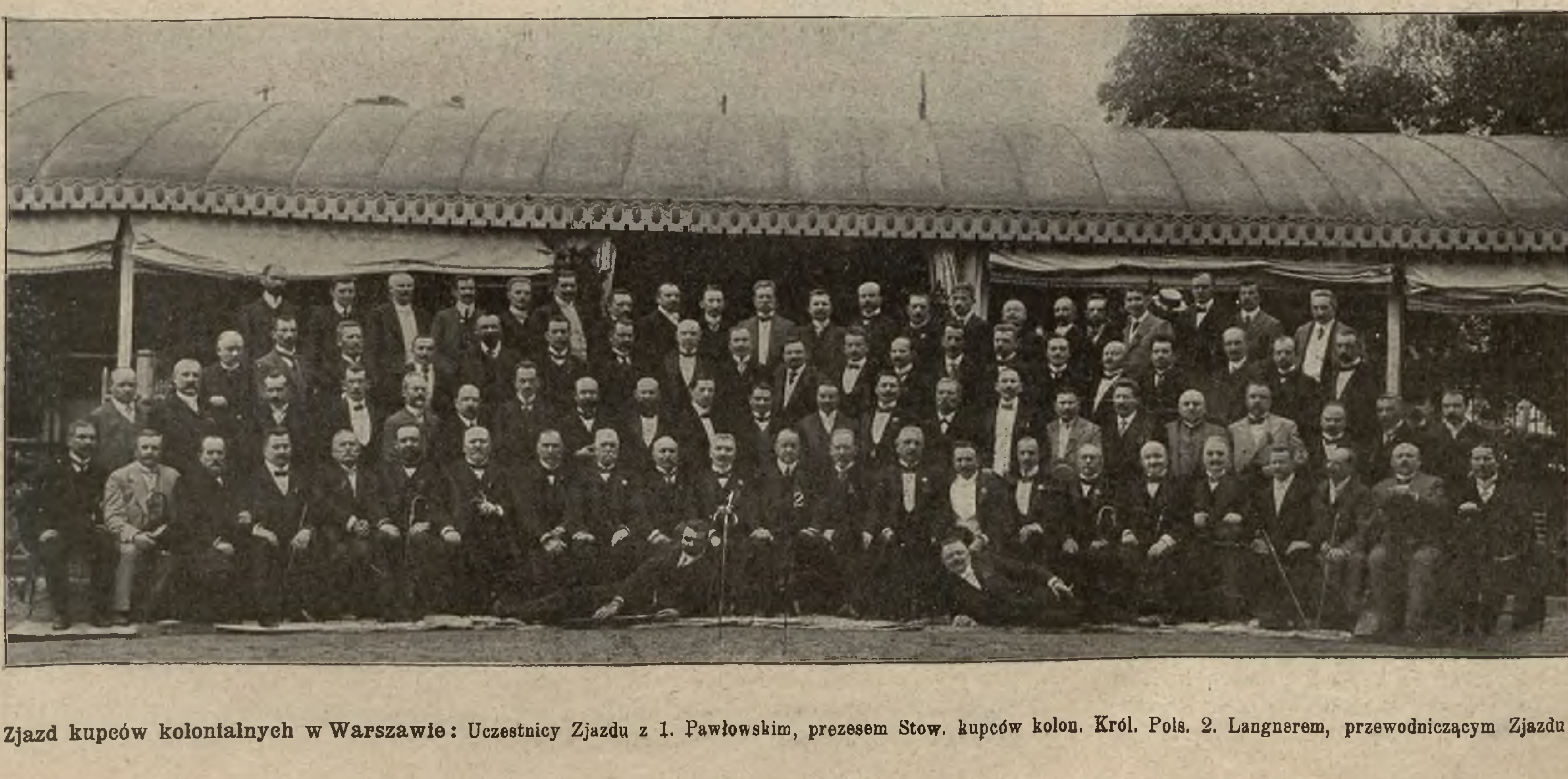
Widząc w toku śledztwa mnożące się przeciw sobie dowody, hr. Bogdan Ronikier, postanowił udawać chorego na umyśle. Oddany na dłuższą obserwacyę do szpitala w Tworkach pod Warszawą, wytrwał w charakterze symulanta, udając obłęd na tle manii religijnej. W tym charakterze utrzymuje się on do tej chwili, tłumacząc się przed sądem, że



Proces hrabiego-mordercy: Adwokat przysięgły Kazimierz Korwin Piotrowski, obrońca Zawadzkiego.

jest Teodorem, przełożonym jakiegoś przez siebie założonego zgromadzenia zakonnego.

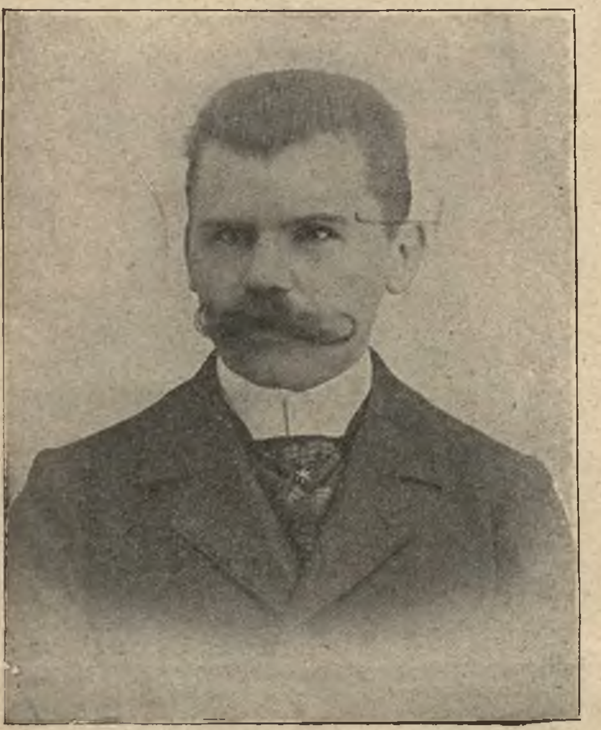
Proces hr. Ronikiera będzie ze względu na zgromadzony materyał dowodowy i niezwykle senzacyjne tło, na jakiem się wypadki rozgrywały, jednym z najciekawszych, jakie się rozegrały przed sądami w Królestwie Polskiem w ostatnich czasach. Do rozprawy powołano przeszło 100 świadków. Zezna-



Zjazd kupców kolonialnych w Warszawie: Uczestnicy Zjazdu z 1. Pawłowskim, prezesem Stow. kupców kolon. Król. Pols. 2. Langnerem, przewodniczącym Zjazdu

wać będą rodzice i koledzy zamordowanego Stanisława Chrzanowskiego, służba hotelowa z Lublina, kilku dziennikarzy i literatów warszawskich, handlarze mebli z Pociejowa, u których Ronikier zakupywał umeblowanie i dywany do owego pokoju, obywatele ziemscy z Lubelskiego i członkowie rodziny. Oskarżenie wnosi wiceprokurator warszawskiego sądu okręgowego Herszelman. Podsądnego Ronikiera bronić będą adwokaci przys. Wacław Makowski i Bobriszczew-Puszkin. Zawadzkiego, właściciela pokojów umeblowanych, bronią adwokaci przys. W. Ettinger i Kazimierz Piotrowski, a numerowego Siemińskiego adwokat Sterling. Imieniem rodziny zabitego wnosi akcyę cywilną adwokat Franciszek Nowodworski b. poseł do 1. Dumy.

Proces hr. Ronikiera budzi także niemałe zainteresowanie w sferach literackich i teatralnych Warszawy ze względu na literackie stanowisko obwinionego. Hr. Bogdan Ronikier dał się bowiem poznać jako autor dramatyczny i powieściopisarz. Jako słuchacz Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1889 i 1890 rozpoczął karjerę literacką powieścią historyczną z czasów Jagiełły drukowaną w *Głosie Narodu*, następnie w teatrach krakowskich i warszawskich wystawił kilka sztuk, z których dramaty: „Nieszczęśliwi", „Zgaszeni" i „Czy warto" miały nawet znamiona bystrzejszej obserwacyi i zręczności kompozycyjnej i względnego doznały przyjęcia. Po przeniesieniu się do Warszawy wydawał czas jakiś *Kuryer świąteczny* i miesięcznik salonowy. Ze względu na tę literacką przeszłość hr. Ronikiera, akt oskarżenia powołuje także na świadków cały szereg literatów i artystów dramatycznych, między nimi Frenkla, Palińskiego, dra W. Rabskiego, K. Zalewskiego, J. Balińskiego, którzy zeznawać będą o Ronikierze jako pisarzu i dadzą charakterystykę jego światopoglądu w utworach teatralnych, oraz opinię o wartości scenicznej jego utworów.



Proces hrabiego-mordercy: Adwokat przysięgły Franciszek Nowodworski, występujący imieniem rodziny zamordowanego ś. p. Stanisława Chrzanowskiego.

Okoliczność ta potęguje w wysokim stopniu zainteresowanie się ogółu osobistością i procesem tego niezwykłego zbrodniarza. Nie mniejsze zainteresowanie budzi sprawa jego także zagranicą, skąd przybyło kilku przedstawicieli najwybitniejszych dzienników europejskich na ten niezwykle zaciekawiający proces.

Zjazd kupców kolonialnych w Warszawie.

Idea zrzeszania się i odbywania zjazdów dla obrony wspólnych interesów, zatacza coraz szersze kręgi we wszystkich sferach naszego społeczeństwa. W ślad za innymi zawodami i kupiectwo nasze odczuwać zaczyna coraz bardziej potrzebę organizowania się i umacniania węzłów zawodowej solidarności.

W Warszawie odbył się w dniach 27 i 28 z. m. z inicyatywy zarządu koła kupców winno-kolonialnych przy Stowarzyszeniu kupców polskich I. Zjazd kupców winno kolonialnych z całego Królestwa Polskiego. W obradach zjazdu, które odbywały się w sali stow. kupców przy ul. Szkolnej wzięło udział 112 uczestników.

Zjazd zagaił organizator główny i prezes stow. kupców polskich p. F. Pawłowski, poczem wybrano prezydyum. Na prezesa powołany został p. Edmund Langner, wiceprezesami wybrani zostali p. Henigman z Kielc i F. Pawłowski z Warszawy, na honorowych członków prezydyum pp. A. Weichert, Wróbel, F. Poradowski, J. Misiurski z Będzina, Skorupka z Łomży i Wojciechowski z Wolbromia.



Ustąpienie japońskiego premiera: Markuz Katsura, przechodzący w dobrze zasłużony stan spoczynku.

Obrady zjazdu toczyły się około spraw zawodowych, dotyczących organizacyi i ułatwień dla handlu winnego. Najwięcej zainteresowania obudziły referaty p. Adolfa Pollaka „Uwagi nad stanem handlu winno kolonialnego w ciągu ostatnich lat 40" i tegoż prelegenta „Projekt utworzenia piwnicy udziałowej".

Zjazd, po ożywionej dyskusyi uchwalił odpowiednie rezolucye, przedstawione przez referenta.

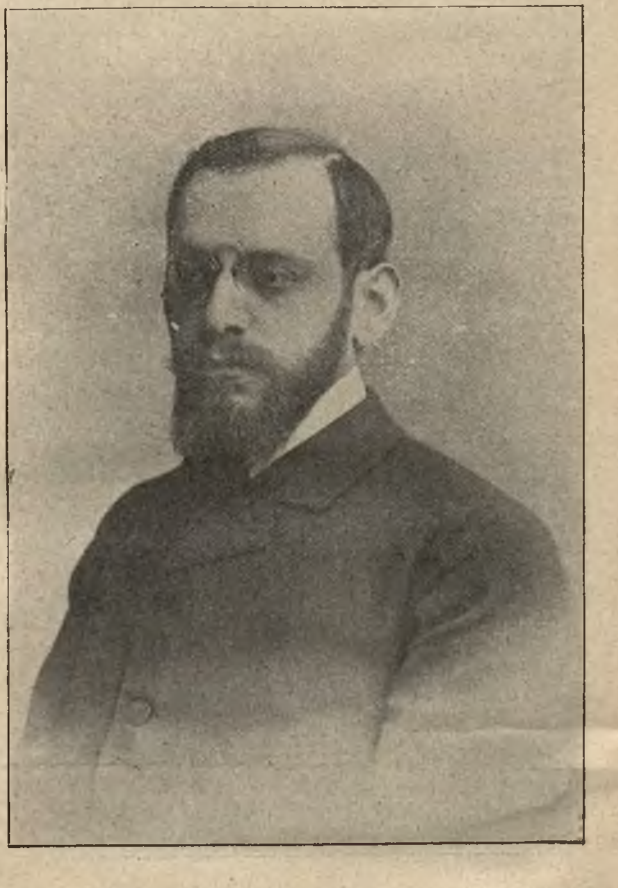


Jubileusz przybocznego lekarza cesarza Franciszka Józefa: Dr. Józef Kerzl.

Ustąpienie japońskiego premiera.

Syt sławy i zaszczytów ustępuje obecny szef gabinetu japońskiego w stan dobrze zasłużonego spoczynku. Tryumfy Japonii w ostatnich czasach, to głównie jego zasługa.

Markiz Katsura, znany zarówno ze swej wojennej jak i politycznej działalności w ciągu ostatnich dwudziestu lat, urodził się w r. 1847, jako potomek rodziny szlacheckiej. Odznaczył się już w wojnie domowej, walcząc po stronie mikada, następnie wysłany został do Berlina na studya w szkole wojennej, skąd powrócił po trzech latach i bardzo szybko przebiegł wszystkie szczeble hierarchii wojskowej. W roku 1886 był już wice-ministrem wojny. Po wojnie chińsko-japońskiej otrzymał tytuł wicehrabiego i nominacyę na ministra wojny, godność tę złożył jednak już po dwóch latach. Jako marszałek polny usunął się znowu w zacisze domowego ogniska, skąd wola mikada powołała go na stanowisko prezydenta ministrów.



Proces hrabiego-mordercy: Adwokat przysięgły K. Sterling, obrońca numerowego Siemińskiego.

Na czas jego urzędowania przypada zawarcie traktatu angielsko-japońskiego, w nagrodę za pomyślne przeprowadzenie sprawy posunięty został do godności hrabiego. Ustąpił bezpośrednio po ukończeniu wojny rosyjsko-japońskiej.

W r. 1908 powołano go znowu na fotel prezydyalny, na którym oddał ojczyźnie nieocenione przysługi, regulując jej sprawy finansowe nadwyrężone gwałtownie w ostatnich czasach. Dzięki jego polityce Japonia stoi dziś pomiędzy pierwszemi mocarstwami świata.

Jubileusz przybocznego lekarza
cesarza Franciszka Józefa.

Generał dr. Józef Kerzl, długoletni lekarz przyboczny cesarza Franciszka Józefa, obchodził w tych dniach w Wiedniu siedmdziesiątą rocznicę urodzin. Osobistość dra Kerzla znaną jest dobrze nie tylko w stolicy Austryi, ale w całej monarchii, jako tego, którego pieczy powierzone jest cenne zdrowie sędziwego władcy. W ostatnich zwłaszcza latach, gdy brzemię wieku coraz bardziej odbija się na zdrowiu cesarza, uwaga powszechna zwraca się do osoby dra Kerzla, jako tego, który już kilkakrotnie, troskliwą opieką i głęboką wiedzą lekarską ratował osobę cesarza w ciężkich wypadkach choroby i utrzymuje jego zdrowie w niesłabnącej czerstwości. Wtajemniczeni w stosunki dworskie i życie prywatne cesarza, opowiadają ciekawe szczegóły o stosunku łączącym cesarza z jego lekarzem, który niejednokrotnie uciekać się musi do podstępów, aby skłonić swego pacyenta do zachowania jego wskazań, niezbędnych dla podtrzymania zdrowia monarchy.

Jubilat dr. Kerzl był poprzednio przybocznym lekarzem cesarzowej Elżbiety i towarzyszył jej w jej licznych podróżach po Wschodzie. Okoliczność ta jest jednym więcej łącznikiem zbliżającym dra Kerzla do osoby cesarza, otaczającego niewygasłym pietyzmem pamięć zmarłej.

Dr. Kerzl, który jest radcą dworu, otrzymał w zeszłym roku zaszczytną nominacyę na lekarzagenerała, a obecnie z okazyi swego jubileuszu przesłał mu cesarz swój portret w kosztownej oprawie z brylantów.



Wyścigi dziesiątego pułku dragonów: Zwycięzca w drugim biegu

Samobójstwo bandyty katorżnika.

Gorączkowe życie stolicy Królestwa Polskiego, zbliża się w swoich ogólnych cechach coraz bardziej do typu wielkich miast europejskich. Kronika kryminalistyczna Warszawy przynosi raz po raz fakta i zdarzenia jakby żywcem wyjęte z kroniki życia mętów wielkich stolic. Na szczęście, w większości wypadków bohaterami tych kryminalistycznych epizodów są szumowiny, powstałe na tle wielkiego ruchu rewolucyjnego rdzennej Rosyi.

Warszawska policya śledcza ujęła przed kilku dniami jednego z takich niebezpiecznych ptaszków, którzy w zbrodniczej wędrówce po wielu miastach cesarstwa zawitali do Warszawy próbować szczęścia na tamtejszym gruncie.

Do hotelu Bristol przybył przed kilku dniami młody człowiek, który zameldował się jako Mikołaj Smirnow, inżynier kolei wiazemskiej. Powierzchowność i zachowanie się inżyniera w niczem nie zdradzało człowieka, który żyje w nieporozumieniu z kodeksem karnym. Zachowywał się bardzo przyzwoicie, przychodził wcześnie spać do numeru, słowem, sprawiał wrażenie człowieka, żyjącego w uregulowanych stosunkach. Niebawem po jego zamieszkaniu, gościom hotelowym poczęły ginąć kosztowności zamknięte w kufrach. Poszukiwania policyi na razie nie wydały rezultatu i nikt nie przypuszczał, aby złodziejem-włamywaczem mógł być poważny „inżynier“.

W kilka dni później okradziony został w tymże hotelu zamożny obywatel ziemski p. Balicki, któremu wykradziono z zamkniętego kufra 110 rubli i dokumenty wartościowe na przeszło 4.000 rb. Nazajutrz po kradzieży p. Balicki otrzymał z powrotem skradzione przedmioty wartościowe z listem, w którym złodziej żądał wypłacenia mu do rąk posłańca który zgłosi się z listem, kwoty 3 000 rubli. P. Balicki otrzymawszy list, złożył go w wydziale śledczym policyi. Równocześnie nieznajomy bandyta zaczął alarmować p. Balickiego przez telefon, żądając pieniędzy i grożąc zabójstwem w razie odmowy. Celem pochwycenia sprawcy, policya wydelegowała do hotelu Bristol jednego z najsprytniejszych agentów, który w porozumieniu z p. Balickim zajął jego numer hotelowy, podczas gdy p. Balicki przeniósł się do innego pokoju. Agent przyjął na siebie rolę p. Balickiego i rozpoczął z nieznajomym pertraktacye przez telefon. Stanęło na tem, że agent imieniem p. B. po dłuższych targach ofiarował się wręczyć posłańcowi 500 rubli. O oznaczonej godzinie przybyło do hotelu kilku ajentów i rozpoczęła się obława. Gdy popołudniu tegoż dnia zjawił się posłaniec, agent wręczył mu grubą kopertę, zawierającą bibułę. Posłaniec wyszedł na ulicę, a za nim z zachowaniem wszelkich ostrożności podążyli agenci policyjni. Na Krakowskiem przedmieściu posłaniec wsiadł do tramwaju i podążył w kierunku Nowego Swiatu, za nim zaś niepostrzeżeni ulokowali się w tym samym wozie tramwajowym agenci. Na rogu ulic Szopena i Alei Ujazdowskiej posłaniec zauważywszy jadącą za tramwajem dorożkę, wyskoczył z tramwaju i wskoczył do owej dorożki, w której jechał jakiś elegancko ubrany młodzieniec. W tejże chwili wskoczyli za nim dwaj agenci i zanim posłaniec zdążył wręczyć nieznajomemu pakiet, dwie pary silnych rąk ujęło owego młodzieńca i przytrzymało go za ręce.

Odwieziony do wydziału śledczego młody człowiek podał się początkowo za niejakiego Grzegorza Stryżaka. Znaleziono przy nim nabity brauning. Gdy go usiłowano poddać badaniom daktyloskopijnym, oświadczył, że to zbyteczne, gdyż sam wyjawi całą prawdę. Przyznał się że jest zbizgiem z Syberyi, dokąd skazany został na 6 lat za zabójstwa, rozboje i kradzieże. Paszport na imię inż Smirnowa sam sfałszował.

Na trzeci dzień po odwiezieniu go do więzienia śledczego na Pawiaku, Stryżak powiesił się na szel-



Samobójstwo bandyty katorżnika: Aresztowany przez policyę warszawską rzekomy Smirnow-Strzyżak, w mundurze inżyniera.

kach. Usiłował on popełnić samobójstwo w więzieniu śledczem zaraz po aresztowaniu, ale tam udaremniono zamach.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 34.

Logogryf:

K
G a ć
K a z a ń
A i n
E m s
i
R e a
B u r a k
M a z z i n i
K l e o p a t r a
S i e m i r a d z k i
W i e s z c z e k
B l a n k e n b e r g
S t e r k o r y z a c y a
A m e r i g o w e s p u z z i
S o u t h a m p t o n
B r a n d t J ó z e f
G w a d e l u p a
W e t t e r n
R o m a n
K o l a s k a
S i k j a n g
Ż a b i e n i e c
P r o s k r y p c y a

Szarada: Mizerka.

Szarada: Balsaminy.

Zadanie konikowe: Miłe złego początki, lecz koniec żałosny.

Logogryf:

Z ł o c z ó w
A m o r o s o
P o d j a z d
O r f e u s z
L i t w a k i
S z a c h e r
K a r s k i e
A n d r z e j

Zadanie do przestawienia: Wyrwał się jak Filip z Konopi.

Łamigłówka: Cicha woda brzegi rwie.

Zadanie do przestawienia: Kochaj bliźniego, jak siebie samego.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: S Kowalówka Kraków, K. Kaim Kraków, F. Gebhardt Poronin, M. Cichocka Stanisławów, K. Serwański Lwów, J. Orlicki Lwów, O. Górkowa Chyrów, M. Planecka Kraków, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, Cz. Lipiński Zakopane, T. Mazaraki Radom, J. Radoszewski Podgórze, J. Trepka Sandomierz, J. Jaworski Kijów, D. Sedyńska Zakopane, M. Jasińska Kraków, J. Jakubowska Kraków, R. Knapik Tarnopol, J. Kopczyńska Bierzanów, J. Wolny Warszawa, S Mazurkiewicz Lwów, J. Popiel Kamieniec, A. Gralewski Jaszczurówka, J. Jahoda Cieszyn, W. Błoński Kraków, J. Ciszewski Jasło, I. Brzostowski Podgórze, J Strojek Tarnopol, M. Więckowska Łódź, S. Kamiński Petersburg, K. Radomski Warszawa, S. Rogalski Tarnów, H. Kozicki Jasło, D Schwadron Stanisławów, W. Thun Warszawa, J. Ostrowski Skierniewice, W. Bandrowski Częstochowa, S. Kwaśniewski Mielec, J. Świrski Sambor, H Ohrenstein Stanisławów, A. Balicki Kołomyja, D. Gliński Lwów, F. Bätterfeind Kołomyja, W. Potocka Kraków, J. Dyrcz Suchostaw, S. Malinowski Poznań, K. Wałęga Kraków, F. Wiewiórowski Sanok, S. Bukowski Równo, H. Maciejowska Winnica, J. Łopatkiewicz Sambor, M. Kalinowska Warszawa, T. Nikiel Chrzanów, F. Horak Oświęcim, M Lisowska Sambor, J. Wilczkiewicz Lwów, S. Lindenbaum Czerniowce, C. Wang Rzeszów, M. Antosz Jasło, J. Broda Tarnów, H. Piątek Podwołoczyska, J. Martynowicz Lwów, F Frankowicz Lwów, S. Sygnarska Tarnów, K. Wilkosz Krosno, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Pankowski, Kraków, D. Engelberg Kolbuszowa, J. Pick Warszawa, H. Obst Jasło, M. Wędrychowska Sanok, S. Medyński Zakopane, W. Urban Lwów, S Kamiński Jasło, M. Kobyłecki Stanisławów. J. Kozicki Lwów, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Szczawnica, J. Krawecki Rzeszów, K Armatys Uhnów. J. Czarnowski Poznań, S Lemiszewska Żółkiew, M. Bróż Lwów, H. Bernstein, Warszawa, S Sokołowski Kraków, J. Błachowski Tarnopol, H. Zegartowska Bogucice, W. Sołtysik Lwów, H. Figiel Jasło, K. Leszczyński Sanok, M. Sperling Wiedeń, K. Reichenberg, Cieszyn, D. Gross Sanok, L. Sobański Warszawa, M. Münz Stryj, J. Kossowski Lwów, R Linderski Siemiechów, J Niemojewski Zakopane, J. Wyka Rzeszów, M. Zachara Tarnów, W. Domagalska Kraków, W. Raczyński Kamieniec, J. Darowski Petersburg, J. Nowacki Bochnia. M. Arbesbauer Lwów, K. Szumińska Rawa Ruska, K. Fuchs Czeremchów, H. Morgenstern Krosno.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **H. Kozicki, Jasło.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.

Modne roboty i modne kolory.

Wszystkie panie, panienki i dziewczynki powracające z zagranicy, przywożą z sobą czapeczki z białej wełny; jedną na głowie, drugą w walizie, trzecią w pudle z kapeluszami, każdą innego kształtu, każdą innym ściegiem robioną, a wszystkie własnej roboty!... Tak, robienie czapeczek włóczkowych jest prawdziwą manią obecnie pomiędzy paniami wszystkich krajów. Mody takie panują zawsze epidemicznie, obejmując naraz całą Europę. Był czas, że każda



Suknia obiadowa. Z szafirowej liberty, przvbrana siatkową wstawką złotą z czarnem, u dołu obszyta frendzlą. Od pasa ku dołowi odchodzi rozstawienie z wolanty kremowej walansieny. Wykończenie z czarnego dżetu ze złotem.

kobieta wykonywała poduszki i obrazy półściegiem na drobniutkiej kanwie, w pocie czoła, z szalonym uszczerbkiem oczu wyszywano pasterki o kanciastych rysach i baranki o sztywno łamanej wełnie. Później przyszła moda na haft biały i wykonywano wówczas prawdziwe arcydzieła, które przechowywały się najobficiej wśród wieśniaczek ziemi krakowskiej, szczególniej w Proszowskiem i Miechowskiem, pod postacią fartuchów i chustek prześlicznie haftowanych. Potem była przelotna moda frywolit, potem koronek klockowych. Przed kilku laty szerokie zatoczyła kręgi moda robót *point-lace*, robiono z nich kapy na łóżka, firanki, bluzki, parasolki, nie mówiąc już o tysiącznych odmianach serwet i *chemin-de-table*. Obecnie moda ogranicza się skromnie na szydełkowych i drutowych czapeczkach. Na werandach wszystkich pensyonatów, pod koszami wszystkich plaży, widać panie gorliwie pracujące z szydełkiem w ręku, z kłębkiem białej włóczki na kolanach. Z zawziętością i pomysłowością właściwą kobietom, mnożą nieskończenie ściegi i kształty: piuski, berety, czepki normandzkie, czapki frygijskie, koafki bretońskie, bermyce greradyerskie!... I podziwiać trzeba panie, jak jedną i tę samą czapeczkę potrafią przeistaczać na swych główkach, raz silnie naciągnięta na włosy, szpiczasta na czubku głowy, naciągnięta na uszy, imituje czepek, drugi raz rozwinięta na górze, prosta, z odstającym brzegiem, jak czapa mazurska, trzeci raz z fantazyą naciągnięta na ucho! Nie możemy jednak powiedzieć, aby moda ta imponowała nam, tak jako strój, jak jako robota. Pod tym względem jest tak prostą i łatwą, iż nigdy nie może dojść do wyżyn artyzmu. Jako strój, stanowczo niewłaściwą jest na lato; nie ochrania oczu, grzeje głowę i wpływa niekorzystnie na włosy.

O wiele artystyczniejszemi i właściwszemi, jako letnie okrycie głowy są kapotki, tak zwane dawniej helgolandki, które tu i ówdzie panie zaczynają wprowadzać, jakby na przekór zwolenniczkom wełnianych czapek. Wykonane z cieniutkich batystów, linonów i muślinów, ozdobiane walancienami, lub misternymi ażurami, inkrustowane irlandzkimi medalionami, dają pole do stosowania najmisterniejszych zakładek i przeróżnych ściegów. Widuje się też kapotki strojne, nie nadające się do prania w wodzie, jak zwykłe helgolandki. Widziałam prześliczną, przywiezioną z Paryża. Na błyszczącej gazie koloru *vieil or* położone cztery pliski cieniutkiego haftu, każdy zakończony wąziutką, złotą koroneczką; na wierzchu głowy medalion haftowany, przy nim, ponad uszami tufy z muślinowej wstążeczki jedwabnej w złotym kolorze. W tego rodzaju stroiku każdej kobiecie musi być ładnie i wygodnie.

Na ogół jednak, jakby na urągowisko upalnemu i długiemu latu, modne są czapki wełniane i kapelusze na pół filcowe. Stanowczo pod koniec tego lata filc coraz bardziej wyrugowuje słomę, coprawda fabrykacya jego doszła do takiej doskonałości, że rondo filcowe jest o wiele lżejszem od słomianego, a przy możności zachowania blasku, daje pole do stosowania przecudnych tonów. — A że łączenie barw nie przestaje być modnem, kolorowe, błyszczące filce niezmiernie podnoszą strojność kapeluszy. Widuje się więc biały filc z brzegiem błękitnym, przybrany bukietem róż, albo kapelusz w kolorze purpurowym, lub amarantowym, podbity białym.

Biały kolor wogóle nie przestaje być najmodniejszym, ale najczęściej w połączeniu z inną barwą. Pod tym względem panie i magazyny prześcigają się w pomysłowości.

Na eleganckich koncertach popołudniowych, na zabawach na różne cele, widuje się kombinacye wprost zadziwiające i świadczące o bogactwie fantazyi umysłu kobiecego. Oto suknia z tiulu białego, haftowanego *en relief*, dół spódnicy przybrany haftem w tonach błękitnych i fijołkowych, objęty jedwabiem fijołkowym, podobnie przybrany stanik. Do tego pończoszki, jak pajęczyna i półbuciki Moliery w fijołkowym kolorze. Kapelusz biały, przybrany różami liliowemi. Parasolka fijołkowa, z rączką przybraną ametystami. Do tego płaszcz amarantowy, otoczony lampasem fijołkowym, przy kołnierzu i wyłogach ozdobiony złotem.

Obok druga suknia biała z linonu, z haftem *plumebis*, przybrana koronką irlandzką, pasek z czarnego aksamitu o długich końcach, kapelusz czarny, otoczony białemi różami, pończochy białe ażurowe, półbuciki białe o noskach i obcasach z lakieru czarnego.

Przy tej trochę żałobnej toalecie, trzecia biała, z tiulu, przybrana volencienami, pasek z aksamitu zielonego, suknia z boku otwarta, ukazuje szkic z jedwabiu zielonego, stanik podobnie przybrany, kapelusz z filcu zielonego, z głowy, zuchowato podpięty białą egretą, pończoszki i buciki zielone, równie jak parasolka o rączce malachitowej.



Suknia spacerowa. Niezmiennie modnem jest łączenie aksamitu czarnego z lekkimi toaletami. Niniejsza toaleta z szwajcarskiego haftu, ma pancerz z czarnego aksamitu i takież zakończenie szarf. Kapelusz z czarnej tengali, podbity aksamitem i przybrany girlandą z róż. Parasolka biała jedwabna z czarnym brzegiem.

Kobieto!... imię twe jest nie tylko „puch marny“, nie tylko „płochość“ i „pustota“, imię twoje, to gust, to wdzięk, to bajeczna pomysłowość, tylko szanuj to imię i bądź mu wierną.

Ramo...

Głosy publiczne.

Z Cyrku Edison: Z dniem 8 bm. następuje zupełna zmiana programu, na który złoży się cały szereg prześlicznych zdjęć oryginalnych treści naukowej i komicznej.

W obrazie „Nad jeziorem genewskiem“ przesunie się przed oczyma widza przecudna panorama Genewy i jeziora, sceny z życia mieszkańców Szwajcaryi, zwyczaje i obyczaje, wszystko niezrównane w swej naturalności i prawdzie życiowej. Niemniej zajmujący jest historyczny dramat z życia „Van Dycka“ jednego z pierwszych malarzy świata, oraz wstrząsający dramat rodzinny „Na manowcach“ Atrakcyą programu będzie oryginalne zdjęcie z natury „W fabryce aeroplanów“ przedstawiające od początku do końca w jaki sposób powstaje aeroplan.

Najważniejsze wypadki ostatniego tygodnia z dziedziny życia politycznego, sportu, przemysłu, mód kobiecych i kroniki katastrof przedstawi aktualny i niezrównany zawsze Żurnal Pathego. W końcu część humorystyczną reprezentować będzie „Zapominalski“ oraz arcywesł sezonowa bluetka „Sąsiad i sąsiadka“ w wykonaniu niedoścignionego Maksa Lindera.

NADESŁANE.

Kto cierpi na padaczkę, kurcz lub zaburzenia nerwowe, temu poleca się „EPILEPTICON“ wyrobu apteki „pod Łabędziem“ w Frankfurcie n/M. — Panna Teresa B. pisze: „Nawet lekarz domowy podziwiał rzeczywiście niezrównany dobrodziejski skutek tegoż środka u mego biednego brata“. — Do nabycia w aptekach. Główny skład i wydawanie bezpłatnych próbek w aptece Fortunata Gralewskiego, Kraków 109. (3)

MAKSYM GORKIJ.

Przygoda dyabła.

(Dokończenie).

I znowu dyabeł dotknął się serca Iwanowicza, który poczuł kłócie — i wnet znowu leżało na dłoni dyabła coś, co wydzielało ze siebie woń ostrą i kwaskowatą i podobne było do szmaty.

— Tak wygląda złośliwość moja w naturalnej postaci! — zawołał Iwan Iwanowicz, kurcząc nos.

— Zmięszana jest z tchórzostwem — objaśniał mu dyabeł.

— Ej, co tam... powiedz mi pan raczej, dlaczego wszystkie moje uczucia tak są pogmatwane?

— To jest ich właściwością, kochany Iwanie Iwanowiczu — odparł dyabeł i ze wzgardą rzucił na podłogę kawał, który był częścią serca jego pacyenta.

— Zaczynam doznawać dziwnego uczucia — zauważył Iwan Iwanowicz, wsłuchując się w bicie serca swego.

— Przyjemnego?

— Czuję, że mi jakoś lżej na sercu... swobodniej...

— Czy mam dalej operować?

— Ależ owszem!...

— Cóż pan jeszcze masz?

— Rozmaitości... wogóle to, co u każdego człowieka znaleźć można.

— Na przykład złość!

— Tak! Naturalnie... złość... tak jest. Właściwie nie samą złość tylko... także i nerwy... ten stan podrażniony... uczucie niepokojące!

— Czy i te mam usunąć?

— Rozumie się! — Tylko ostrożnie, proszę... wszystko bowiem u mnie pomięszane. Gdyś pan złość ze mnie wyciągał, czułem... że wstyd także się we mnie odezwał.

— To jest całkiem naturalne — odparł dyabeł — ja nawet muszę się wstydzić, gdy patrzę na pańskie uczucia... Utrzymujesz pan serce w bardzo złym stanie...

— To przecież nie jest moją winą! — odrzekł Iwan Iwanowicz. — Ze sercem bowiem rzecz się ma inaczej jak z zębami; szczotką i proszkiem czyścić go nie można.

— I to prawda... a teraz będę dalej operował, zgoda? Czy uwolnić więc pana od wpływu nerwów?

— Dobrze — zgadzam się.

I po raz trzeci dotknął się dyabeł piersi Iwana Iwanowicza swą ręką.

Gdy rękę cofnął, pozostała na jego dłoni większa ilość nie dającej się bliżej określić — lekkiej, bezkształtnej masy, która wydzielała trupią woń i dwojaką miała barwę: zielono-szarą, właściwą niedojrzałym owocom i ciemno-brunatną, którą owoc dostaje, gdy gnije.

Dyabeł trzymał galaretowatą masę w swej napół otwartej dłoni i spoglądał na nią ze zdumieniem, usiłując dociec, z czego się ona składa.

— Oto, Iwanie Iwanowiczu — rzekł on z wyrazem smutku i nie patrząc wcale na pacyenta — wyciągnąłem z pana coś... lecz nie umiem powiedzieć, co to jest. Takie to skarby nagromadziłeś pan w swem sercu przez lat trzydzieści swego żywota! Żaden chemik nie byłby w stanie zdać sobie z tego sprawy... Przypuszczam jednak, że będziesz teraz tak czysty jak anioł, gdy się pozbyłeś niepotrzebnego balastu. Czy nie jestem może zręcznym chirurgiem — co? Sam o tem nie wiedziałem, że się tak dobrze znam na tej sztuce... A cóż teraz zrobimy? Gratuluję panu, panie Iwanie Iwanowiczu, oczyszczonej duszy, czyli... jak pan to nazywasz... doskonałości! Spodziewam się, żeś teraz samą doskonałością?!

Rzucił i tę część składową serca swego pacyenta na ziemię i spojrzał na Iwana Iwanowicza... Przeraził się.

Iwan Iwanowicz był zupełnie wycieńczony, osłabiony i tak giętki, jak gdyby wcale kości nie posiadał w ciele. Siedział na krześle z otwartemi usty a na jego twarzy jaśniała owa nie dająca się opisać błogość, która najczęściej spostrzegać się daje u idyoty.

— Iwanie Iwanowiczu! — wołał dyabeł, ciągnąc go za rękaw.

— A...

— Cóż się z panem dzieje?

— O...

— Czy czujesz pan co?

— U...

— Może panu niedobrze?

— E...

— To chyba nie czary! — zawołał dyabeł roztargniony. — Czy naprawdę pozbawiłem go całej zawartości... całej istoty? Iwanie Iwanowicz!

— A...

— Rzeczywiście! Nic w nim nie zostało, tylko pojedyncze brzmienia... a te także bez żadnego związku... Cóż teraz z nim pocznę?

Dyabeł zapukał do piersi Iwana Iwanowicza, a ta — zahuczała, jak próżna beczka; zapukał do głowy, ale i ona była pusta.

— Tak wygląda człowiek doskonały! O ty, najuboższy z biednych! Obrabowałem cię... Ale, czy ja wiedziałem, że tyle w tobie było złego? Cóż się teraz dalej stanie?

Wpatrując się w nieruchome, błogie oblicze człowieka, który cel swój osiągnął, pogrążył się dyabeł w myślach.

— Ha! — zawołał, mlaskając językiem. — Mam myśl! Doskonałą myśl, która i szatana zadowolni! Nasamprzód wysuszę tę doskonałość, potem wrzucę do niej groch... i będzie oryginalna grzechotka do rozweselenia szatana...

I podniósł dyabeł z krzesła Iwana Iwanowicza, zwinął go i włożywszy pod ramię — znikł z pokoju.

Mgła zgęszczała się coraz bardziej i zasłaniała zimne i smętne oblicze poranka, który wglądając przez okno do izby, zapowiadał pochmurny dzień. Z ulicy wpadał do izby uroczysty głos dzwonów i rozchodził się w niej jak westchnienie.

Tłómaczył: Leon W—g.

Zagadki do nagrody.

Zagadka.

Ułożył H Tournelle, Lwów.

Wprost znajdziesz w drzewie
Każdej jakości,
Wspak bierzesz, jeśli pragniesz
Części z całości.

Arytmogryf.

Ułożyli A i M. K. Kraków.

Kwadraty i cyfry zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nam imię i nazwisko popularnego do dnia dzisiejszego polskiego pisarza.

□	1	2	3	4			
□	1	5	6	7	8	7	5
□	9	8	1	9	6		
□	10	9	6	4			
□	11	5	4	8	4	9	
□	12	1	5				
□	1	13	1	14			
□	15	4	16	6	4		
□	4	17	18	7	19	1	
□	16	15	4	20	4	12	
□	6	4	21	4	15	4	
□	7	22	23	19	6	4	
□	7	16	15	4			
□	1	15	5				
□	20	6	9	23			

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Rosyi. 2. Przydomek króla polskiego. 3. Imię męskie. 4. Owoc. 5 Półwysep w środkowej Ameryce. 6. Potwór przedpotopowy. 7. Ryba. 8. Kraj w Azyi. 9. Kapłan i poeta litewski. 10 Imię biblijne. 11. Wodospad w Ameryce. 12. Imię żeńskie. 13 Afrykańskie zwierzę należące do nieparzystokopytnych. 14. Miasto w Anglii. 15. Kraj w Azyi.

Łamigłówka.

Ułożył Rekrut z Facimiecha.

Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nam manifestacyę katolicką, jaka niedawno odbyła się w Galicyi.

to —
kt —
le —
— ad
— ok
— ra
ko —
do —
ag —
— ak
— ak
— le
ko —
la —
— os
— wo
— ór
le —
ai —
wó —
— ms
— ak
— en
ja —
wa —
st —

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. J. Lefas Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Nachał, worek, zyze, czas, doki, Poe.

Zadanie konikowe.

Ułożył J. Badura, Rożdzień.

za	łaj	skę	łą	chwa	żnie	chcesz	mi
Pol	i	łą	dzia	li	ło	czyć	wa
ku	u	mieć	no	nia	o	ci	ścią
na	wą	Bo	szej	no	pa	od	to
łaj	mniej	ród	wspa	gu	bra	wa	łaj

Logogryf.

Ułożyli A. i M. K. Kraków.

Rząd środkowy odpowiednio odgadniętych wyrazów poda nam imię i nazwisko nieżyjącego już jednego z najznakomitszych polskich historyków.

□
— □ —
— — □ — —
— □ —
□
□
— □ —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2 Imię męskie. 3. Droga wodna. 4. Rodzaj poezyi 5. Spółgłoska. 6. Samogłoska. 7. Tytuł turecki. 8. Dyabeł po rusku. 9. Owad. 10. Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Wiktora Hugo:* **Człowiek śmiechu.**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.